

# MYSŁ NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY  
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 30.

WARSZAWA, 9 LIPCA 1933 R.

CENA NUMERU 80 GR.

## PATRYJOTYZM W CUDZYSŁOWIE

**N**IEDAWNO w prasie żydowskiej zrobił się wielki huczek o zagrożony przez czyjeś „oszczerstwo” patryjotyzm żydów względem Polski. W sprawie tej wielu żydów i związków żydowskich ponadzięwało zgnęła kontusze, czamary, sukmany i skrzeszało galopadę patryjotyzmu. Spójrzmy bezpośrednio na typowy urywek tej galopady w brzmieniu p. Pierrota z żydowskiego „Naszego Przeglądu”. Mówi on:

„Obóz antysemitki nie jest godzien tego, aby żydzi mieli przed nim spowiadać się ze swych uczuć patryjotycznych. Legitymacją tych uczuć przed obiektywnym majestatem Rzeczypospolitej, przed Narodem Polskim — jest prawda życiowa, prawda przeszłości i teraźniejszości. Błoto kolumnij antysemitkich nie sięga, oczywiście, do tego wysokiego poziomu, na jakim się znajduje nasz patryjotyzm głęboki i szczery, nasze przywiązanie i miłość do Polski, udokumentowane na przestrzeni dziejów pracą dla dobra kraju, ofiarnym udziałem żydów w walkach wyzwoleniczych, zasługą wybitnych jednostek współdziałających z ogółem nad (— (!) —) pomnożeniem bogactw duchowych i materialnych wspólnej ojczyzny... „Żydzi polscy nie potrzebują legitymacji patryjotyzmu od antysemitów”... „Endecka aprobata nie jest potrzebna w sprawie, w której zabierali głos wieszczowie”... „Ale są uczucia święte, których kłaść nie wolno. I dlatego oszczerstwa, wypowiedziane w Łomży, wstrząsnęły naszą opinią. I dlatego opinia ta domaga się zadość uczynienia przed obliczem sprawiedliwości”.

Zastanawia tu przede wszystkim czas i nagłość tych majaczeń patryjotycznych. Prasa i literatura polska setki razy przedstawiała i jaskrawo oświeślała wrocie wobec Polski stanowisko żydostwa, a mimo to ze strony żydów nie było o to krzyku, ani protestów, ani gorączki amarantowej. Milcząco, owszem — pogodnie przyjmowali żydzi podobne zarzuty, a to nie tylko, jako nie dające się obalić fakty, ale też jako stwierdzenie ich lojalnej międzynarodowości. Mieli zawsze do wyboru: Z jednej strony patryjotyzm względem tej lub owej „wspólnej ojczyzny”, a z drugiej — Trzecią Międzynarodówkę. I stali „twardo” przy... Tej Trzeciej. A teraz nagle zapalali tak bezwzględny, na-

tarczywym patryjotyzmem! Skąd ta odmiana? A no... Hitler. Tym nowym Hamanem otwiera się dzisiaj, niby wytrychem stalowym, niejedna skrytka dyszy żydowskiej.

W Niemczech Hitlera załamało się nie tylko tameczne żydostwo, które wygodnie łączyło w sobie „patryjotyzm” niemiecki z niemiecką „Tą Trzecią”. Sześćset tysięcy żydów pozbawionych jednej ze swoich licznych „ojczyzn” — to przykre, zapewne, ale nie najważniejsze dla narodu o szesnastu milionach ruchliwych głów. Załamała się tam materialna potęga żydów... Ale i to da się prze-trzymać. Istnym natomiast kataklizmem dla żydostwa jest rozpad, dosłowny rozpad socjal-komunizmu, w Niemczech dotychczas tak mocno tam zakorzenionego. Sześć milionów komunistów i blisko drugie tyle socjalistów niemieckich zgąsło, jak szabasowa świeczka, pod dmuchnięciem Hitlera. A ta armja olbrzymia — to była fizyczna i moralna armja żydostwa światowego. Usunęła się żydom zpod nóg opoka ich panowania. W bańkę mydlaną roz-wiał się potężny miech żydowskiej rewolucji, która przed chwilą zmiotła imperjum carów rosyjskich. Żydzi zawiśli w powietrzu. A w tem powietrzu, po faszyzmie i hitleryzmie, barometr spada nadal bezustannie, i niewiadomo, gdzie nowa rozpęta się wichura. Oto główny powód galopujących patryjotyzmów żydostwa w „ich krajach rozproszenia”. Na socjalizm i komunizm już liczyć nie można; trzeba więc natychmiast rozpocząć „nabieranie” narodów na patryjotyzm. A nade wszystko — naród polski.

Zauważmy dalej cynizm tego świeżego — na zamówienie i za wymówieniem — „patryjotyzmu”. Do roku obecnego nie było tak zjadliwej drwiny, tak silnego słowa pogardy i nienawiści, którymby żydzi zaniedbali oczerniać i poniżać wszelki na świecie patryjotyzm i samą ideję patryjotyzmu. A dzisiaj... „nasz patryjotyzm głęboki i szczery... nasze przywiązanie i miłość do Polski... majestat Rzeczy-



pospolitej i Narodu Polskiego... Święte uczucia, których kłaść nie wolno"... i tak dalej.

Żydzi od trzech bezmała tysięcy lat zmieniają swoje ojczyzny, jak zajazdy przydrożne. Mieli już ich ogółem ze trzydzieści, a w tej chwili mają jednocześnie przynajmniej dwadzieścia ojczyzn — ciepłych i wygodnych. Ale gdy ich z jednej grzecznie wyrzucono, to srożą się na nią i grożą jej, a grożą właśnie swoją międzynarodowością i swoją „eksterritorialnością”. Posłuchajmy, co na ten temat powiada „Nowy Dziennik” rabina Thona, bliski kuzyn „Naszego Przeglądu”:

„Jesteśmy wielką siłą bojową nawet dziś, w naszym rozproszeniu, skoro tylko pocujemy, że musimy gromadnie wystąpić we wszystkich krajach djaspory"... „Wgałęziliśmy się w zawiły splot interesów rozmaitych państw. Nasza żydowska, rozłożysta eksterritorialność polityczna może zadać naszym wrogom dotkliwy cios”

A w tym samym czasie, już za rządów Hitlera żydzi w Niemczech składali uroczyste i wysoce „patriotyczne” oferty, licząc swoim zwyczajem, że może jeszcze da się cokolwiek „utargować”. Oto ich patriotyzm. Wszystkimi siłami wciągali swoją ojczyznę niemiecką w otchłań komunizmu. Gdy się to nie udało, wszystkimi słowami „świętymi” zapewniali ojczyznę o swoim patriotyzmie. A kiedy i to się nie udało, wszystkimi siłami swojej „rozłożystej eksterritorialności” grożą ojczyźnie swojej „ciosiem dotkliwym”. Wymówili swój patriotyzm. A teraz tym samym patriotyzmem uszczęśliwić chcą i uhonorować Polskę.

Za odskocznię zaś dla tego cyrkowego *salto* patriotycznego obrali sobie polski obóz narodowy i antysemityzm, który podług nich jakoby zaprzecza istnienia patriotyzmu żydów względem Polski. Tu jednak trzeba małą wprowadzić do ich rozumowań poprawkę. Antysemityzm nasz nie przeczy, ale, przeciwnie, z troską stwierdza istnienie „patriotyzmu” żydów czyli ich gorącego „przywiązania” do Polski. Wymownem tego stanowiska świadectwem jest główny punkt naszego programu, który dąży do „odwiązania” żydów od „wspólnej ojczyzny”. Czy można dążyć do odwiązania kogoś nie przywiązanego? Przywiązanie żydów do Polski stwierdzamy tym, między innemi, znamienitym faktem, że w ciągu jednego tylko wieku dziewiętnastego przybyło do Polski z całego świata trzy miliony żydów. Czy można sobie wyobrazić gorętszy objaw patriotyzmu miejscowego ze strony koczowników? Dzisiaj znowu to samo zaczyna się powtarzać. Żydom w różnych ojczyznach robi się coraz goręcej, a jedna ojczyzna całkiem ich odumarła, więc w równej mierze w sercach ich coraz goręcej rozpala się patriotyzm do ojczyzny polskiej. Słowem: „*La patrie est morte, vive la patrie!*” Ze wszystkiego jednak widać, że jakieś tu tkwi pomieszanie logiczne w samym pojęciu patriotyzmu. Postawmy tedy pytanie zasadnicze: co to jest patriotyzm?

Patriotyzm dąży do siły i panowania własnego narodu na własnej ziemi. Skoro zatem na danej ziemi jakiś drugi naród się zjawi, a wnet i prawa do niej rościć sobie zaczyna, to już samo to zda-

rzenie powoduje wojnę wzajemną dwóch patriotyzmów, wojnę o naród i ziemię. Patriotyzm żydów krajowych byłby pustym dźwiękiem, gdyby nie dążył do panowania żydów nad Polską, a miałyby cechy wręcz samobójcze, gdyby dbał o siłę i rozrost narodu polskiego. Rzeczywistość dzisiejsza aż nadto jasno i powszechnie potwierdza właśnie istotny, zabórczy „patriotyzm” żydów względem Polski. Ale to, jak wiemy, równa się groźbie skierowanej w pierś narodu polskiego. Zgłoszenie przez żydów ich gorącego względem Polski patriotyzmu jest wypowiedzeniem wojny nam — Polakom, a więc i Polsce, bo ziemia bez narodu jest tylko miejscem geograficznym: ojczyzna ginie razem z narodem. Kombinacja żydów polega na tem, że polskim sztan-darem osłaniają siebie, gdy przeciw Polsce wojują.

„Patriotyzm” żydów względem Polski jest pożądanem cudzej ziemi przez cudzy naród. Dlatego fałszywa jest sama jego nazwa, przez żydów przywłaszczona, i jeśli ma być używana, musi być cudzysłowem opatrywana. A jak wyglądałaby Polska pod skrzydłami tego „patriotyzmu”, o tem żydzi już nas nie słowami „świętymi”, ale czynami przekonali. Podczas wojny światowej (że tylko od niej zaczniemy) żydzi zaprzędawali Polskę Niemcom. Na Konferencji Wersalskiej polityka żydowska z całych sił dążyła do pomniejszenia i osłabienia Polski. Kierowanym przez się najazdem bolszewickim żydzi chcieli zatopić Polskę w krwawe bagno komunizmu. We wszystkich krajach świata prasa żydowska oczerniała Polskę i urabiała w nich o narodzie polskim jaknajgorszą opinię. Polityka żydowska narzuciła Polsce zabójczy dla niej traktat o mniejszościach. W Polsce żydzi z jednej strony usilnie szerzą komunizm, a z drugiej — opanowują wpływy i bogactwa. Wewnętrzna polityka żydowska wpycha naród polski na dno upokorzeń i nędzy. To chyba dosyć, jak na „współdziałanie w pomnażaniu bogactw duchowych i materialnych wspólnej ojczyzny”...

Ponieważ wszystko to różnemi drogami zmierzają do jednego celu — do rozrostu, wywyższenia i panowania żydów nad ziemią i narodem „tutejszym”, więc, dla względów porozumiewawczych mowy, słuszne będzie, gdy tego rodzaju „patriotyzm” żydów nazwiemy poprostu i bez cudzysłowu — patryjudyzmem. Wygoda z tego nowego słowa będzie i ta, że patryjudyzm ma doskonałe zastosowanie w każdym kraju apetytów żydowskich. Będzie więc patryjudyzm francuski, węgierski, czeski, polski, palestyński i tak dalej. I również był o. p. patryjudyzm niemiecki, ale, niestety! opuścił padół ziemski w tempie hitlerowskiej galopady antysemitycznej. A wreszcie, dla dogodzenia międzynarodowym i „ludzkościowym” skłonnościom żydów, będzie w użyciu synteza poszczególnych określeń w postaci patryjudyzmu światowego. Jak widzimy, stajemy tu bezpośrednio i wobec prawdy i „przed obliczem sprawiedliwości”, o co z takim patosem upominają się publicyści żydowscy.

STANISŁAW PIENKOWSKI

Z powodu otrzymywanych reklamacyj zawiadamiamy, że nr. 28 „MYŚLI NARODOWEJ” uległ konfiskacie w chwili, kiedy skład numeru już był w drukarni rozebrany, wobec czego nie mogliśmy zarządzić drugiego wydania. Widocznie część nakładu zatrzymana była na pocztę i ta nie doszła do rąk prenumeratorów. Naprawić tej krzywdy już nie możemy.



## JÓZEF SZUJSKI

(1835 — 1883)

(Dokończenie)

**J**ASNOŚĆ i głębokość myśli, siła i piękno wyrazu „Dziejów Polski“ zwróciły na Szujskiego uwagę tego obozu, który wówczas pod hasłem Przy Tobie Naj. Panie stoimy obejmował ster polityki polskiej w Galicji. Nanowo budzi się w nim publicysta, a nie usypia i dramaturg, nie zrażony nawet w r. 1868 ostrą naganą Bolesławity — Kraszewskiego. W trzykroć pamiętnym dla siebie roku 1866 Szujski przystępuje do redakcji założonego przez Pawła Popiela „Przeglądu Polskiego” i ogłasza w nim niebawem do spółki z Tarnowskim i Koźmianem słynną „Tekę Stańczyka”. Nawiasem mówiąc to arcydzieło sarkazmu, skierowane przeciw głosicielom „nieprzerwalności powstania”, w najmniejszej, bo tylko w dziewiątej części wyszło z pod pióra Szujskiego, który tam załatwiał porachunki także z własną przeszłością (zestawienie: Langiewicz — Kazimierz Wielki). Było jeszcze sporo do wyrównania między dostawcą karabinów z pod Goszczy, a konserwatystami krakowskimi; jeszcze musiał Popiel strofować Szujskiego, że nazwał margrabiego Targowiczanie (1885), a i później mogły się zdarzać różnice zdań na tle taktyki wobec Wiednia. Ostatecznie przecież Szujski nauczył się od Helcla, Manna, Popiela zasad polityki zachowawczej, na owe czasy dla Galicji rzeczywiście realnej; oni od niego uczyli się z całym narodem historii. Od roku 1866 wciągnięty do pracy parlamentarnej możeby nawet zatracił swe powołanie uczzonego, gdyby go nie przedstawił Uniwersytet Jagielloński na nowoutworzoną katedrę historii polskiej. Stało się to z pominięciem kandydatów zamiejscowych, warszawskiej Bartoszewicza i lwowskiej Szmidta, ale stało się dobrze (1869).

Nadal przez lat kilkanaście wykłady stanowią nić przewodnią życia Szujskiego, na którą nawleka on cenne kamienie, częstokroć perły swych prac monograficznych. Pierwsze studia monograficzne o królach polskich, powstawały z podniety dziennikarskiej na zamówienie J. N. Turowskiego dla czasopisma „Niewiasta”. Później drukował rozwinięte szerzej wykłady takie, jak: Wstępna prelekcja 1869 r., Pielgrzymka Ottona III do Gniezna, Charakterystyka Kazimierza Wielkiego, Maćko Borkowic, Jerzy Ożarowski i kard. Fleury. Osobną grupę stanowią odczyty z powodu rocznic i jubileuszów: Polska w wieku Kopernika, Stanowisko Długosza w historiografii europejskiej, Charakterystyka Zygmunta Augusta, Cecora i Chocim, Polska przed odsieczą wiedeńską, Tadeusz Reylan. Osobną rozbiory krytyczne dzieł Sołwajowa, Kūp-peggo, Bobrzyńskiego tudzież uwagi o cudzych teorjach: Moralność i wiedza (o Buckle’u), Jeszcze o elekcji w epoce Jagiellonów (o Stadnickim). Osobną — przedmowy do wydawnictw i źródeł: Kraków aż do początku XV w., Sejmy za Zygmunta Augusta, Ostatnie lata Zyg. Augusta i Anna Jagiellonka etc. Parę cennych rozpraw napisał Szujski z materiałów, zebranych przez młodego, przedwcześnie zgasłego kolegę St. Lukara; parę szkiców z odległej dziedziny antycznej, o Neronie i Marku Aureljusz, pisał zdala od pracy źródłowej, podczas kuracji. Koniec końcem właściwem wiel-

kiem przedsięwzięciem, jakie Szujski podjął niezależnie od przygodnych podnięt, nie z obowiązku profesorskiego, ale z najgłębszego wewnętrznego umiłowania, było olbrzymie studjum nad epoką jagiellońską, z którego tylko wstęp — o Ludwiku Węgierskim i główny trzon myślowy: Odrodzenie, Reformacja oraz kilka studjów o ustroju doczekały się opracowania.

Inne to były czasy niż dzisiaj, nieco inne potrzeby kulturalne inteligencji, inne też, bez porównania mniejsze, środki naukowe. Inwentaryzacja źródeł krajowych w zawiązkach, do zagranicznych prawie nikt nie docierał: toż Szujski poza Polską, tylko w Wiedeńskim archiwum Dworu i Państwa w ślad za Walewskim robił poszukiwania, jakby wykradając się z sesyj parlamentu austriackiego. To też nie w obfitości wydobytych przezeń i spożytkowanych źródeł rękopiśmiennych tkwi jego główna siła. Taksamo — nie w historjografii, której szerokich zarysów w skończony system nie zdążył rozwinąć.

Siła Szujskiego polega przedewszystkiem na wydobywaniu z ograniczonej ilości surowca obfitej wartościowej treści i na podawaniu jej czytelnikom w formie podbijającej umysły. Czy pisał lekko? Nie sądzimy, — zresztą co warta lekkość w porównaniu z męską energią, jednością, z dźwiękiem szlachetnego metalu! Czy pisał plastycznie? Podobno nie — jeżeli plastykę rozumieć mamy dosłownie, jako sztukę odtwarzania kształtów, barw i ruchów; o to się Szujski nie ubiegał, w tem go prześcignęli Szajnocha i Kubala. Nowsze dziejopisarstwo, a z niem Józef Szujski, tworzy tkaninę z wątków duchowych, których się nie przedstawia plastycznie. Ale zarzucono Szujskiemu ze strony poważnej i w chwili bardzo poważnej, bo uczynił to Smolka niemal nazajutrz po pogrzebie, że nie był także psychologiem. Znowuż — zapewne nie, jeżeli przez psychologję rozumieć mamy fizjologję duszy, podpatrującą w człowieku to, co najpospolitsze, najprzyziemniejsze, wszelkie *naturalia non turpia*. Szujski nie przewyciężył w sobie tego przeświadczenia, że człowiek historyczny jest istotą moralną, że spełnia on jakieś zadania, służy jakimś ideom, że w historii jest zło i dobro, i że łamanie się zła z dobrem stanowi dla badacza dziejów przedmiot najwartościowszy. W odślanianiu tej strony psychiki ludzkiej był Szujski mistrzem niedoścignionym: on naprawdę prześwieślał rozumy i sumienia oczyma, „które deski grobów kruszą”.

Genialny improwizator-konstruktor okazał się poza tem szczęśliwym organizatorem nauki na przyszłość. Jego rola w wewnętrznej budowie U. Jag. jako profesora i rektora (1878) nie jest jeszcze zbada-  
dana, podobnie jak doniosła rola generalnego sekretarza Akademii Umiejętności. Zato o pierwszym dyrektorzem wydawnictw i wnet prezesie Komisji Historycznej, daje protokół tego grona dobre wyobrażenie Komisja za czasów Szujskiego to było główne ognisko prac organizacyjnych, inwentaryzacyjnych, wydawniczych, ognisko, do którego rzekłbyś zbiegli się zziębnięci długiemi upośledze-



niem nauki polskiej w Galicji miłośnicy i każdy je zasilał znalezionem w kraju paliwem. Ileż płodnych pomysłów zabłysło i rozgorzało w tem gronie pod technieniem Szujskiego, pomysłów tak dalekosiężnych, że niektóre stają się ciałem dopiero za naszych dni! Akta króla Aleksandra, Lauda Krakowskie, Dziennik Wielewickiego, księgi miejskie Krakowa, Źródła do dziejów Jana III — to były wszystko zdobyte nowej metody badań, zgodnej z doświadczeniem zachodu, metody edytorskiej i monograficznej. Sam Szujski rozpoczął ważną serję Djaruszów Sejmowych XVI w. Kroniką Wapowskiego, zainaugurował osobno „*Scriptores*“, tudzież „*Codex epistolaris saeculi XV*“. Nie był wydawcą tak wyszkolonym jak późniejsi: Piekosiński, Ulanowski, Balzer, ale w porównaniu z poprzednikami: Działyńskim, Przeździeckim, nie mówiąc o Raczyńskim, sztuce edytorską niewątpliwie posunął naprzód. Również w polu organizacji badań trzeba odgrodzić jego wkład od dorobku młodszych kolegów: dopiero Zakrzewski wydoskonalił zasady wydawnictw źródeł nowożytnych, Bobrzyński nadał Komisji ścisłe formy regulaminowe, Smolka zorganizuje — wnet po śmierci Szujskiego ekspedycję rzymską, wszyscy razem — w myśl szerokiej inicjatywy wodza — ułożą program działalności Komisji, który uczyniłby z niej sztab generalny naszej gałęzi wiedzy, gdyby następcy zechcieli go wykonywać tak gorliwie i umiejętnie jak Szujski. Narazie, póki żył, starczył prezes za program, tak świetnie umiał skupiać i zaprawiać do zbiorowej pracy wszystkie siły miejscowe, i siły dalsze, lwowskie i najdalsze, jakie wzięły udział w zorganizowanym przezeń z pomocą sekretarską Bobrzyńskiego na pierwszym zjeździe historyków polskich im. Długosza w Krakowie w r. 1880.

Jeszcze jedną zostawił nam Szujski wielką zasługę, którą niektórzy nazwą raczej ciężką winą. Podobno stworzył szkołę historyczną krakowską, której wspólnem znaniem pesymizm, monarchizm, katolicyzm. Dwóm pisarzom zawdzięczamy to uogólnienie. Bobrzyński w r. 1877 ugrupował całe dziejopisarstwo pogrobowe Rzplitej w 3 szkoły: naruszewicką, lelewelską i „nowszą“, dzisiejszą, bardziej od tamtych krytyczną. Wł. Smoleński w 9 lat potem wyprowadził poglądy lelewelowców z republikańskich uprzedzeń XVIII wieku, a doktrynę wyodrębnionej „szkoły krakowskiej“ przedstawił, jako przejawienie nauk Naruszewicza (bez żadnego wzbogacenia historjozofji). Otóż podobnie jak Szujski zastrzegł się, i słusznie, przeciw wciąganiu w jeden czambuł pisarzy z Lelewalem tylko współczesnych, ale nie pokrewnych, tak samo my musimy dziś podkreślić, że ani żadna szkoła krakowska nie odcinała się odrębną metodą badań od Pawińskiego, Rembowskiego, Kalinki, Liskego, Balzera, Korzona, późniejszego Jarochowskiego, ani w tej grupie badaczy o pokrewnych poglądach Szujski nie roztopiał się bez reszty. Własną on ma indywidualność, i odpowiada tylko za własne poglądy, które wyraziście, zwłaszcza z Bobrzyńskim polemizując, sformułował. Przytem są to poglądy naogół bardzo konsekwentne, w swej powściągliwości jednolite: jeżeli między Szujskim z „Dziennika Lwowskiego“ a Szujskim z „Czasu“ różnica jest duża, to między nauką Dziejów i nauką Historji minimalna. Gdyby wierzyć Smoleńskiemu, to Szujski „z katedry zrobił trybunę, w formie rozpraw naukowych ogłaszał pamflety polityczne“. Bylibyśmy niesprawiedliwi, gdybyśmy zmarłego warszawskiego historyka rzecz o „Szkołach“ nazwali pamfletem

historjograficznym, albo jego „Przewrót“ pamfletem antyreligijnym — podobnie jak on postąpił ze zmarłym Szujskim, imputując mu tendencyjność, bez cienia dowodów, bez najlżejszej próby obalenia jego poglądów. Dość zredukować tezy Szujskiego do ich rzeczywistego zasięgu.

Jego „jezuityzm“ wyraził się w tem, że jezuitów w młodości i w sile wieku za hypokryzję, intrygi, egoizm i wsteczność potępił. Jego katolicyzm, niewątpliwie raczej i pogłębiający się z wiekiem, pozostał osobistem jego przekonaniem, a przecie, jak sam akcentował, co innego przekonania, co innego wypaczająca fakty doktryna. Nie trzeba też było wcale uprzedzeń wymienionych, aby stwierdzić, że Polska za Zygmunta Wazy tylko w katolicyzmie mogła uratować swoją moralną jedność. Jego monarchizm? Chcąc go zmierzyć, trzeba zestawiać proste stwierdzenie słabości rządu i pierwiastku monarchicznego, w III tomie Dziejów, oraz w historii (1880), z dynastycznym legitymizmem Walewskiego, co w monarsze umieszcza serce i głowę państwa. Nigdy Szujski nie głosił statolatrii, nigdy chwilowego rządu nie utożsamiał z państwem, ani nawet nie upatrywał w słabości rządu głównej przyczyny upadku dawnej Polski. Szukał głębiej, i dlatego właśnie dochodził do wniosków, które dla niektórych czytelników brzmiały pesymistycznie.

Ileż to nieporozumień wywołuje ten nadużywany termin! Ilu ludzi na błahiej podstawie otrzymuje epitet pesymistów. Kto pisze o rzeczach smutnych — więc pesymista? Wytyka ludzkie błędy — więc pesymista? Widzi więcej zła, niż go było naprawdę — chyba tu dopiero zaczyna się prawdziwy pesymizm — a dochodzi on do szczytu dopiero, gdy ktoś twierdzi, że nie tylko jest źle, ale źle być musi. My historycy, nie nadużywamy o sobie emfitycznych powiedzeń. Żaden z nas nie nazwał siebie miljonem, co za miliony kocha i cierpi katusze, chociaż byli tacy — przykładem Szujski, w których duszach jak na strunach harf, rozdzwieczały się najsmutniejsze melodie przeszłości. Żaden z nas nie powiedział o sobie, jak Dant za życia przeszedł przez piekło — a przecie wędrowka Szujskiego przez Smittów, Hermannów, Droysenów, Sołowiewów, no i chociażby przez owe Teki mniszchowskie w zbiorach Pet. Akademji umiejętności, to nie była wędrowka przez niebo. Łatwo świecić pogodą ducha, kiedy się nie wychodziło w badaniach źródłowych poza wiek Jagiellonów i Wazów. Szujski jako pierwszy badacz XVIII wieku miał, rzecz można lepsze prawo do pesymizmu niż inni przodownicy mniemanej szkoły krakowskiej, z których jeden złamał ręce nad Wielkim Sejmem — drugi złamał je już nad Zygmuntem. A jednak gdzie w jego pismach niewiara w naród? Czy to on powiedział, że nie granice i nie sąsiedzi tylko nieład wewnętrzny przyprowadził nas o utratę politycznego bytu? Szujski powiedział tylko, że upadek Rzplitej spowodowała własna kilkowiekowa wina — co winy zaborców nie wyklucza, i czemu nikt, znający schyłkowe wieki Rzplitej przy zdrowych zmysłach nie zaprzeczy.

Tak samo trudno dopatrzeć się czarnowidztwa w innych tezach, sięgających pod purpurę i złoto głów zewnętrzności. Unja z Litwą, wielki tryumf i źródło tryumfów, zarazem ciężkie posłannictwo, czyż można zaprzeczyć, że odciągała siły prężne narodowe nad Dniepr i Dźwinę, a zarazem otwierała Polsce życie ułatwione, nieintensywne, na mo-



dłę wschodnią a nie zachodnią. Młodszość cywilizacyjnego rozwoju w oczach Szujskiego wiele rzeczy tłómaczy i usprawiedliwia; w oczach innych miałyby nas napawać pesymizmem, jakgdyby właśnie starość rasy rokowała zwycięstwo. Albo ta sprawa z Odrodzeniem i Reformacją. Nie da się zaprzeczyć, że Szujski patrzy na ostatnie pokolenia jaggielońskie wzrokiem matejkowskiego Stańczyka (czy też ów Stańczyk — okiem Szujskiego): ale czy myśliciel, który zbadał fatalny ustrój społeczno-polityczny r. 1573; jałowość usiłowań Batorego, rychły powrót do słowiańskiej kupy t. j. do konfederacji, mógł wzniecać pytanie: kto tamto zbłąkane pokolenie wychował? jacy ludzie? jakie prądy? jaką siłę moralną wynieśli oni z Reformacji, i jaką intelektualną z Odrodzenia?

Bezsprzecznie, surowa powaga Szujskiego z postępem jego lat i niedomagań fizycznych coraz mocniej przesiąkała smutkiem, i ten nastrój zostawił ślady w ocenie złotego wieku. Nastrój bardzo zrozumiały na tle pogłębiającej się ku końcowi XIX wieku niedoli Polski, kiedy sprawa nasza znikła z widowni międzynarodowej, a i w kraju postęp życia narodowego stracił na rozmachu. Ale od czegoż *magistra vitae*, jak nie poto, by prawda leczyła wszelkie zło?

Jak przed nim Długosz „nie żałował siebie, aby powiedzieć prawdę tym, których kochał, podobnie Szujski przeorał się przez dzieje świeże, krwią ociekające, aby uprzytomnić narodowi własny jego szlak i przebyte doświadczenia. Rzadko kto tyle sądów wygłosił ile on; ale bywają różne sądy i różni sędziowie. Jedni z wysokości swej zarozumiałej doby cenzurują królów i obywateli, jak gdyby już zdobyli, także na przyszłość zupełną nieomyślność. Inni — w ich liczbie Szujski — stają przed majestatem wieków z pokorą, aby mierzyć ludzkie sprawy, także i swoje społeczne miarą powszechnego, a nie swego osobistego rozumu. Jeżeli Wyspiański kładzie w usta Szujskiemu drwiące słowa: „Historja... dzieje... otom jest w sumieniu porażon sędzia: wybacz sędzio cieni! — to słowa te znajdują odpowiednik we wstępnej prelekcji młodego profesora: „Miarą wartości naszego pokolenia wobec dziejów narodowych są dzieje same; zasługą naszą nie jest, że żyjemy w wieku XIX. Wobec historji minie on jak każdy inny...“. Nie w naszym też charakterze synów wieku postępu, wieku XIX możemy upatrywać naszą wyższość i czoło od przeszłości odwracać“. Taki stosunek do przeszłości musiał sobie uświadomić człowiek, który zanim począł z katedry „*antiquam exquirere matrem*“ był samowiednym synem i sługą tysiącletniego narodu i historji — po schodzącej z tronu poezji — uważał za ogniwo, mające jednoczyć „rozbitych, rozdzielonych, nieszczęśliwych, a przecież jeszcze w nieśmiertelnej czujących się jedność“.

Wszakże od sądu i orzecznictwa do tworzenia norm na przyszłość przejście równie gładkie, jak niebezpieczne. Zauważono trafnie (Rybarski), że historja wtedy bywa najlepszą mistrzynią życia, kiedy do tego celu zmierza — bezwiednie. Szujski póki opierał się „o ziemię, o stosunki, o rzeczywistość“, czyli o źródła i fakty, póty nie błądził. Inaczej, gdy próbował zabierać głos w sprawach żywej polityki, nawet bardzo zasadniczych. Tutaj wszyscy jesteśmy omylni, tu rasowy zmysł polityczny wyprzedza książkową mądrość. Szujski, przyłgnąwszy do obozu zachowawczego, któremu

marszałkowali Potocki, Wodzicki, Mann, Popiel nie stwarzał, lecz adoptował gotowy kierunek, i w rozprawach politycznych o Dawnej Rzeczypospolitej i jej pogrobowcach, o fałszywej historji, jako mistrzyni fałszywej polityki, o kilku prawdach z dziejów naszych, szukając przesłanek historycznych dla gotowej dążności swego obozu, niezawsze granitowe budował mosty między tem co było, a tem co ma być. Przeceniono zwłaszcza owe „newtonowskie“ Prawdy (Smolka) kulminujące w twierdzeniu, iż przyczyną nieszczęść był u nas brak harmonji między czynnikiem rządu, a czynnikiem ładu i sprawiedliwości“, bynajmniej zaś nie forma rządu ani zły ustrój społeczny. Gdyby nawet jasnym było, jak się owa abstrakcyjna harmonja wprowadza w życie, to recepta Szujskiego nie miałyby wartości w zaborach rosyjskim i pruskim, gdzie cały „rząd“ należał do obcych. Albo np. czy z analogji między dawnym szlachcicem demokratą a nowoczesnym łykiem lub chłopem galicyjskim napewno wynikał wniosek, że hierarchja możnowładczoziemiańska powinna włodarzyć w Galicji wyłączenie? Czy pisarz, który zna szkodliwą wyłączność szlachty miał poprzestać na strofowaniu przekupek z placu Szczepańskiego, że im się zachciewa tytułu „Pani“? Czy polemiczny fajerwerk i „*liberum conspiro*“ miał przekonać ludzi, którzy wiedzieli, że za kordonem inaczej, jak szeptem, o ojczyźnie mówić nie wolno, tych zwłaszcza ludzi, którzy pamiętali, jak to sam Szujski w „dodatku“ do *Portretów* w odmawiał zaufania partji oligarchicznej, bo ona „prosperuje właśnie negacją jawności, utrzymuje się przynęcaniem i wolnem wtajemniczaniem w swoje myśli“. Czy siła asymilacyjna państwa Polskiego w wieku XVI — XVII stanowiła gwarancję, że naród uciśniony zasymiluje w wieku XIX rozbudzonych Rusinów i Żydów? Czy nie oglądanie się na historyczny charakter Austrii w r. 1866 licowało z charakterem historyka i czy nie rozgrzeszało ono na przyszłość tych, którym aprobowany przez Szujskiego lojalizm wsiąknął w mózg i krew na półwieku, aż do upadku monarchji habsburskiej?

Tych kilka wątpliwości byłoby może nie na miejscu, gdybyśmy omawiali działalność innego historyka, a nie Szujskiego, który z bezprzykładną siłą przekonania wierzył i kazał wierzyć, że historja jest mistrzynią życia. Ale jego bystry i sumienny umysł zdawał sobie sprawę, że to, co pisze, niezawsze będzie ostatniem słowem nauki — albo polityki. Arystokrata duchowy, oddawszy swe siły arystokracji cielesnej, chwilami aż chory na manję niepopularności, odwracał się od krzykliwej i sentymentalnej tromtadracji galicyjskiej, a swoją drogą śledził z otuchą wielki ruch nowych żywiołów z których wyrośnie inna demokracja, dojrziała a popularna, ogarniająca wszystkie warstwy od karmazyna do chłopca w jeden narodowy obóz. Byłe przetrwać, byle się nie dać sprowokować do samobójczej ruchawki (1877), zanim się zrośniemy w jedność polskiego poczucia i zanim przyjdzie ów „czas który czeka na potężnych“. Czy tylko nadmiar krytycyzmu w stosunku do praociców nie wymrozi w prawnukach przywiązania do tradycji dziejowej? Szujski przewidywał, że zdania jego kolegi Bobrzyńskiego „mogą ulec kolportowaniu przez żółtodziobów, obnoszących się bezmyślnie z każdą jaskrawą nowością“, ale też — był przekonany, że „wielka większość społeczeństwa nie przy-



mie poglądów autora w całej jednostronności, że umysły młodsze a głębsze na których jedynie przyszłość lepsza oprzeć się może, nie stracą nic na tem zaszarpianiu do trzew "... wyciągną z niego impuls do badania i pracy, praca zaś i badanie nie podadzą ich w ślepią od kogokolwiek zależność.

Że tak się stało rzeczywiście, przyzna każdy, kto zna rozwój nauk i myśli historycznej u nas w ciągu ostatniego półwieku. A czyż trzeba wywodzić, że i przewidywanie nowych bardziej popularnych form organizacji narodowej nie zawiodło: toż w parę lat po śmierci Szujskiego pocznę się taki ruch, z tendencją do wzrostu w wielkie narodowe stronnictwo, a pocznę się w Szwajcarii w formie... „*liberum conspiro*“.

Czy znaczy to, że następne pokolenie, próbując innej polityki, odrzuciło zarazem, jako „fałszywą“ dawny fundament rękoma Szujskich i Kalinków scementowany? Nigdy w świecie! Wszystko w dziejach ma swój czas. Intuicyjne uogólnienia, doktryny, historjizacje mijają, oręże historyczno-polityczne, zwane morałem dziejów, odchodzą do zbrojowni: pozostają ściśle empiryczne prawdy, których rdza wieków nie strawi, a z których korzystają następcy, bliżsi lub dalsi, czasem nawet przekonaniowo dalecy. Po Szujskim takich prawd naukowych bez domieszki praktycznej pozostał skarb przeogromny, tylko mało kto wie o jego istnieniu. I z tem trzeba się pogodzić. Fikcja, wizja noszą znamię osobiste. Światło nauki zdobywamy dla wszystkich, prawdy się nie patentuje, nie chroni

żadnem prawem autorskiem, a im ona mocniejsza, tem prędzej staje się nieosobistą. Dlatego milion Polaków wspomina wdzięcznie Kraszewskiego i Sienkiewicza, milion Matejkę, a ledwo górnych dziesięć tysięcy zdaje sobie sprawę czem był najzasłużeńszy może z ich wychowawców Szujski.

Tkwi w tem dla badacza pewnego rodzaju upośledzenie, ale łatwo przejść nad niem do porządku dziennego. Trzeba się tylko, zgodnie z pierwszą i ostatnią myślą Szujskiego poczuć w swem głębszem, nie osobistem, lecz zbiorowem jestestwie. Czem byłoby społeczeństwo bez historii? Najwyżej ludem. A naród, to jest taki „szczęśliwy lud“, co „wie skąd wyszedł, więc wie, gdzie dąży“.

Naród jak rzeźbiarz, by z ziemskiej gliny  
Na chwałę Panu postacie snuł,  
Ducha i woli potężne czyny.  
A więc, kto myślał, czynił i czuł.  
W krew ten pokoleni winien przechodzić  
Ściągnien ich siłą winien się stać:  
Kto się z przeszłości umiał odrodzić,  
Ten będzie wieńce przyszłości brać.

Twórca, który te słowa wyrzeźbił, przez swoje Dzieje Polski, przez mnogie prace monograficzne, przez dziesiątki impulsów danych innym badaczom, przez ducha miłości ojczyzny i ducha prawdy, jakim promieniował wokoło, choć niewidzialny między nami, coraz bardziej nieosobisty, — żyje w Narodzie, żyje w Niepodległej Polsce.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

## FORPOCZTY MASONERJI W POLSCE

### FORMACJE MASONSKIE PODCZAS WOJNY ŚWIATOWEJ

**P**ODCZAS wielkiej wojny nastąpiło po raz pierwszy wybitne ożywienie wśród masonów na ziemiach polskich. Na terenie Królestwa działała bardzo aktywna przedwojenna jeszcze loża „Odrodzenie“, zależna od Wielkiego Wschodu Polski i założona przez dr. Rafała Radziwiłłowicza. Koło tej loży grupują się: Konrad Chmielewski, dr. Męczkowski z żoną, obecnie wysoką urzędniczką ministerjum oświaty, prof. polit. Garlicki, prof. Marjan Grotowski, który od lat na Wolnej Wszechnicy prowadzi infiltrację masonską, a żona jego, według wszelkiego prawdopodobieństwa też należąca do masonerii, czyni to samo w Min. W. R. i O. P. od początku organizacji naszych urzędów jeszcze za okupacji niemieckiej.

Do wielkiego Wschodu Francji należeli już wtedy: Litauer — persona grata w MSZ. w okresie sanacji; Wassercug-Wasowski, który przystąpił do wolnomularstwa w czasie pobytu swego w Paryżu przed wojną, gdzie wydawał z pomocą masonów miesięcznik antychrześcijański a wolnomysłny „Panteon“, poczem przyjechawszy do Warszawy działał z masonem Rzymowskim w „Prawdzie“, na początku wojny w „Widnokręgu“, wreszcie za okupacji w „Głosie Stolicy“, organie wybitnie antykoalicyjnym. W okresie Polski Niepodległej po karjerze urzędniczej w Ministerjum Spraw Zagranicznych, dymisjonowany przez jeden z rządów narodowych, przeniósł się do prasy („Naród“, „Kurjer Polski“), poczem założył „Polską Agencję Publicystyczną“, dzięki której prowadzi dalej swą masonską robotę, zwłaszcza

w prasie prowincjonalnej. Do teiże loży należy również Witold Giełżyński, wiceprezes Syndykatu dziennikarzy warszawskich.

Z tą lożą „Odrodzenie“ był w kontakcie, a w każdym razie do Wielkiego Wschodu Francuskiego należał senator Salomon Posner wicemarsz. S. natu, fejtetonista „Robotnika“ i jeden z najbardziej wpływowych, zakulisowych ambasadorów żydostwa polskiego. Najwpływowszym bodaj masonem w Polsce, niejako ambasadorem wolnomularzy jest prof. Sz. Aszkenazy, w którego rękach zbiegają się różne nici, choć siedzi na uboczu. Do tej samej loży należy prof. Uniw. Warsz. Marcei Handelsman, który powrócił z prelekcyjnych występów gościnnych w Paryżu, gdzie mu pomagał inny mason Wacław Makowski, który z masonem adw. Smiarowskim, zmarłym w roku zeszłym, organizował za okupacji niemieckiej departament Sprawiedliwości. Do tej samej loży należy również żyd Leon Chrzanowski swego czasu za okupacji reporter „Kurjera Polskiego“, obecnie korespondent „Kurjera Warsz.“, do niedawna z Rzymu, obecnie z Genewy.

Tymczasowa Rada Stanu była obstawiona przez masonów, do których należeli wtedy a i obecnie, następujące osobistości: wicem. prof. Mikułowski-Pomorski, który obecnie zajmuje się specjalnie oświatą rolniczą, adw. a potem minister Bukowiecki, Jankowski (z WNPR), Artur Sliwiński, no i oczywiście Kazimierz Natanson. Powolni zupełnie masonerii byli: Dziewulski, Kozłowski, Łuniewski, Sokołowski, Janicki. Zapewne weszli też do loży.

W innej loży, też należącej do Wielkiego Wschodu Francji, główną rolę grał, bo zdaje się był jej Wielkim Mistrzem St. Patek, obecnie am-



basador w Stanach Zjednoczonych, Do tej loży został wciągnięty adw. Paschalski, obecnie figura w sanacji, bo prezes Strzelca, dalej Michał Sokolnicki, zagorzały piłsudczyk, obecnie poseł w Kopenhadze, adw. Łypaciewicz, Życki, do niedawna współdziaławiec „Świata“, w którym faktycznym redaktorem był W. Giełżyński, jak się już rzekło mason.

## DWAJ REŻYSERZY:

### ŻYD FINOT I ŻYD WINAWER

Reżyserem polskich masonów należących do Wielkiego Wschodu Francji był osiadły oddawna w Paryżu adwokat warszawski Jan Finkelhaus (żyd), który sobie przybrał nazwisko Jean Finot i był redaktorem miesięcznika „Revue des Revues“. Finot był masońską stacją nadawczą, w Warszawie zaś stacją odbiorczą były rodziny Natansonów i Kempnerów. Oni dyrektywy Finota rozsyłali dalej na falach wolnomularskiego posłuszeństwa, płynącego z ignorancji, przypominającego osły i barany. Natansonowie, finansiści i przemysłowcy, a jeden z nich, lekarz, ogromnie byli ustosunkowani i wywierali wielki wpływ na różne sfery społeczne. Kempnerzy usadowieni w dziennikarstwie, przez „Nową Gazetę“ wpływali na radykalną inteligencję i brać literacko-dziennikarską. Kempnerowie grali wcale znaczną rolę w okresie okupacji, bo jeden członek z ich rodziny był mocno ustosunkowany w sferach literackich i polityczno-dziennikarskich Berlina, jako A. Kerr, obecnie na emigracji w Paryżu.

Podczas wojny światowej zdobyła w Polsce wpływy masoneria rosyjska. Masoni polscy, uzależnieni od niej, otrzymywali instrukcje od żyda Winawera, należącego do kadetów i ministra w rządzie Kiereńskiego. Winawer, brat literata żydowskiego, pisującego po polsku Brunona Winawera, miał rozgałęzione stosunki masońskie w Polsce i we Francji, gdzie obecnie przebywa na emigracji. Dużo młodzieży polskiej, która w Rosji należała do kół radykalnych bądź socjalistycznych, poddanej było bezpośredniemu wpływom masońskim. Rozległy teren działalności miał tu Al. Lednicki. Wielu z nich przyjeżdżało z Rosji do kraju z instrukcjami masońskimi, spora liczba została wciągnięta do różnych kół wolnomularskich już tu w kraju. Komplet urzędników Tymcz. Rady Stanu a potem już ministerów w Polsce Niepodległej był forsowany pod wpływem masonerii niemieckiej, rosyjskiej i francuskiej. W rękach wolnomularzy była Liga państwowości polskiej (L. P. P. czyli „leć po posadę“), w której b. czynny był żyd S. Simon. Na terenie Ligi „działał“ też i L. Kulczycki. A wiemy coś o tym.

St. A. Kempner z aprobaty kół socjalistycznych organizował w Polsce Niepodległej filję polską „Union of Democratic Control“, który to związek został założony w Anglii w listopadzie r. 1914 pod auspicjami figuranta Mac Donalda, ale w gruncie rzeczy była to instytucja masonerii żydowskiej, kierowana za kulisami przez sjonistów Izraela Zangwilla i Brailsforda. Na zewnątrz lansowała ideje zrzeszeń pacyfistycznych i stowarzyszeń narodów. W Polsce nie miała powodzenia, oficjalna jej działalność po pewnem myszkowaniu skończyła się po jakimś roku. Zastąpiła ją ekspozytura masonerii

francuskiej zaflancowana u nas przez senatora Salomona Posnera z „Robotnika“. Wybitniejszymi działaczami masońskimi na tym terenie byli: doktorowa Meczowska, adw. Śmiarowski, adw. Paschalski, Edw. Lipiński, ongi urzędnik Urzędu Statystycznego, obecnie dyrektor Instytutu badania koniunktur (jak się to ślicznie nazywa).

## PRZEGRUPOWANIA

### W MASONERJI

Z chwilą śmierci Finota w Paryżu i Kempnerów w Warszawie, nastąpiło przegrupowanie w lożach i w ich ustosunkowaniu. Znana to taktyka masonerii. Zresztą już w r. 1920 na dwa tygodnie przed „Cudem nad Wisłą“ z inicjatywy masonerii włoskiej została założona w Warszawie Wielka Loża Polski, przy której narodzinach odegrał pewną rolę poseł włoski p. Tommassini, jak wiadomo mason, i utrzymujący dość wyraźne stosunki z masońskimi kołami w Polsce. Zwraca uwagę fakt, że były to czasy, kiedy we Włoszech panoszyła się nie tylko masoneria, będąca pod wielkimi wpływami żydów, ale i bolszewizm. W związku z założeniem Wielkiej Loży Polskiej, wywodzącej się od rzymskiej „Polonji“, zauważyć się dało pewne przegrupowanie personalne w polskich kołach radykalnych i socjalistycznych, a nawet na urzędach uzależnionych wówczas od tych kół.

Po roku 1920 na czoło masonerii polskiej wysunął się Andrzej Strug, najpierw wielki sekretarz, w zagranicznych drukach masońskich był podawany jego adres na Bagateli, jako adres sekretariatu Wielkiej loży warszawskiej, a potem został Wielkim mistrzem. Następnie S. Posner, oraz dr. L. Rajchman, schowany w Państwowym Zakładzie Higieny, obecnie dyrektor sekcji Higieny przy Lidze Narodów. W okresie sanacji między lożami nastąpiły tarcia. Jedna część masonów opowiedziała się przeciw sanacji, jak Posner i Strug, który nawet manifestacyjnie usunął się ze stanowiska Wielkiego mistrza. Drugi natomiast, jak Konrad Chmielewski, bardzo wybitny i aktywny mason, choć nie obdarzony dygnitarstwami, dalej prof. uniwers. warsz. dr. Jan Mazurkiewicz, dr. Michałowicz, prof. uniwers. warsz. M. Konopacki, dr. Wolfke, prof. polit. warsz. i wielki mistrz wielkiej loży narodowej, zależnej od kół niemieckich, jako też te same loże wielki sekretarz p. Zb. Skokowski, który dzięki masonerii zrobił wspaniałą karierę urzędniczą, przed laty kilku skromny urzędnik minist. pracy, potem stypendysta do biura Ligi Narodów, wreszcie attaché handlowy w naszej ambasadzie w Londynie, ostatnio naczelnik wydziału umów międzynarodowych w ministerstwie pracy, — jako wielki sekretarz loży niemieckiej jest w ścisłych stosunkach z masonami niemieckimi i amerykańskimi. Dworząńczyk, wielki sekretarz W. W., obecnie wysoki dygnitarz w Min. Pracy. Ta grupa poparła sanację i pułkowników. Po przewrocie majowym loże niemieckie rozpoczęły na ziemiach polskich żywszą działalność. Wysunęli się również na czoło ludzie utrzymujący stosunki z temi kołami, którym żyd Winawer, kadet, dawał instrukcje najprzód z Petersburga, a potem z emigracji, Zwracała uwagę osoba p. Al. Lednickiego i ministra A. Zaleskiego. Kamienica Książąt Mazowieckich jest „zbiornicą“, a jednocześnie stacją nadawczą.



## MASONI AMERYKAŃSCY

Co się zaś tyczy masonów amerykańskich, to jest ich w Polsce liczba dosyć znaczna. Składają się oni z emigrantów różnych zawodów, przeważnie inteligencji: technicy, przedsiębiorcy, lekarze, którzy wrócili do ojczyzny, aby się osiedlić lub też jako emisariusze masonerii amerykańskiej. Drudzy to żydzi amerykańscy, w których rękach są nici organizacyjne masonerii z za oceanu. Niejednego z tych, co wrócił za fałszywym paszportem, zdradziła mała brodawka, jak owego osławionego prof. Normanna. Podstawę organizacyjną i wypadową masoni amerykańscy urządzili sobie w różnych amerykańskich stowarzyszeniach filantropijnych, a obecnie po zwinieniu przed kilku laty Society Friends, została YMCA. YMCA męska i żeńska jest typowem amerykańskim stowarzyszeniem masoni, tem niebezpieczniejsza, że pod naiwnie głoszonymi celami miłości chrześcijańskiej, oświaty, uprawiania sportu, jest to jacejka wolnomularstwa. Pamiętać trzeba, że gdy w Meksyku w najokropniejszy sposób prześladowano katolików, YMCA popierana przez Standard Oil Co, będącą w rękach metodystów, rozwijała ożywioną działalność: budowano domy misyjne, szpitale, uniwersytety, „organizowano“ meksykańów. Taką samą działalność rozwija YMCA w Ameryce południowej pod finansowym protektoratem amerykańskiej *Light and Power Co.* Gdy się te dwie instytucje zakwaterowały w Ameryce, dając mocne

oparcie masonerii, mamy w różnych państwach południowej Ameryki od lat nieustanne fermenty, ruchy społeczne, rewolucje, wojny. W gruncie rzeczy w tych państwach prowadzi się pod różnemi pozorami nieustanną zażartą wytrwałą walkę z katolicyzmem. A wszelkie ruchy, zamieszki, zmiany dyktatur, rewolucje i wojny wywoływane są jedynie w tym celu, aby masoneria łatwiej mogła utrwalić swe wpływy.

Na polską YMCA, która powstała w roku 1921, duchowieństwo nasze zwracało wielokrotnie uwagę. Rzeczywiście, jest to instytucja, mająca na widoku zakonspirowane cele masoni, z czego nie zdaje sobie zupełnie sprawy szersza publiczność, tembardziej, że pozornie jest to instytucja neutralna.

Drugą bramą wypadową, którą sobie urządzili masoni amerykańscy dla ataku na wyższe sfery społeczeństwa, była misja finansowa Devèya. Dla członków tej misji urządzano przyjęcia, na których wchodzono w kontakt towarzyski, a gdy okazywała się potrzeba, zawiązywano stosunki braterskie, które pozostały jako spadek po jej wyjeździe i nb. pobycie dla skarbu państwa bardzo kosztownym, a bez finansowego rezultatu. Była to jedna z większych imprez masoni.

Różne sekty religijne amerykańskie zaflancowane u nas, mające na celu rozbijanie jednolitości katolicyzmu, są forpocztami masonerii.

SEP

ECHA MEDYCKIE

## LEKTURA „KRÓLA DUCHA“

**T**YM, KTÓRZY nie czytali pierwszych moich gawęd z tego szeregu, i tym, którzy je najprawdopodobniej zapomnieli, pokornie zwracam uwagę, że dzielę się tutaj z szerszym ogółem tem tylko, o czem się u nas w domu, w Medyce mówi wśród swoich, w godzinach wolnych od orki całodzienniej, kiedy troska powszednia, znużona i wystraszona ludzkim uporem, wynosi się za drzwi, a zostaje to tylko, dla czego wogóle walka z nią ma sens. To coś, czem przesycony być powinien sam w sobie każdy trud żywota, a z czego bywa dziś głupio albo zbrodnictwo wyjaławiany, a co daje człowiekowi poczucie racji bytu i pęd parcia się wyżej. Kiedy więc wszyscy, starzy i młodzi, domowi i goście, zejdziemy się którego niedzielnego popołudnia w pracowni mojej żony, albo wieczorem przy okrągłym stole pod lampą w bibliotece, czy koło „grottgerowskiej“ jesionowej kanapki, czy zimną przy koninku, zamyka się lekkomyślnie drzwi przed wszelkim kłopotem i zdaje myśli „na wolę“.

Zaczyna się wtedy rozmaicie. Zaczyna się nieraz od jakiejś pustej zabawy, bardzo pustej i bardzo dziecinnej. Myślę, że znajdziemy wyrozumienie tych, którzy chodzą do kawiarni na dancing, lub do stolika znajomego na plotki i anegdotki, którzy zasiadają od obiadu do późnej nocy do bridża (kart u nas w domu niema), albo chwytają to i owo przez radio (nie mamy go także). Jeżeli zbierze się towarzystwo więcej malarskie. Wojtek Kossak, czy pan Karol (Maszkowski), czy Sichulski... Jakież przepyszne cudne rzeczy powoził z Medyki! Widzieliście te drzewa nad stawem i łódkę i te konie przy żniwiarce o zachodzie,

na wystawach i w reprodukcjach — albo ten rydwan do *panneau* sejmowego?... Pan Kazimierz powiada, że się starzeje! Mówiło się kiedyś o tem starzeniu się w związku z Wyczółkowskim, Świętochowskim, znajomym mi sławnym alpinistą Sellą, i innymi... o takich, których duch przerasta fizyczne wpływy i o tych, którzy się kończą z wiekiem i niedomaganiem, o temperamentie i czuciu, o talencie i duszy, o tem co ginie a co rośnie, o słońcach i o księżycach... I trzeba będzie wam to kiedyś powtórzyć. Ale do rzeczy.

Otóż kiedy się zbiorą ręce umiające rysować, kładzie się na stole papiery i ołówki, czasem pudełko akwarel. Wśród gadania o tem i owem ktoś babrze esy floresy, ktoś drugi karykatury, ktoś trzeci pozuje do min i „charakterów“, które najczęściej Lela, żona moja i niezapomniana Halutka Sozańska, przyjaciółka jej i towarzyszka po fachu, absolwentka szkoły Lotha w Paryżu, rysowały w trzuminutowych „krokisach“. Panna Sozańska umarła tej wiosny, pozostawiając szczupły, ale świetny dorobek malarski, zupełnie ogółowi dotąd nieznanym, a ponadto cudowny materiał wspomnień i myśli w listach i notatkach, odsłaniających artystyczną i przepiękną duszę. Wobec nich błędną pisma Marji Baszkirczew. (Rzeczy te ogłosimy).

Czasem jest rysowanie zbiorowe.

— No, Michał, dawaj zadania!

Wtedy wypisywać muszę na kartce tematy ilustracji do piosenek ludowych, tytuły mitologiczne i inne, które biorą i komponują. Albo ćwiczenie takie: Trzeba rozmieścić na kartkach po pięć czerwonych kropek, naturalnie w najniemożliwszy spo-



sób, a każdy komu wola musi w nie wrysować figurę ludzką (akt, by nie błagować fałdami!) tak, aby na kropki wypadały końce nóg, rąk i szczyt głowy. Czasem z czerwonymi przemieszane są kropki niebieskie na drugą figurę. I każdy naturalnie to samo zadanie rozwiązuje inaczej. Niezła to gimnastyka, o ile się równocześnie nie zaniedbuje stałego studjum z natury. Nauczyła nas tego nieodżałowana nigdy Matka mej Żony. Ja wtedy, który, choć wiem niby, jak co ma być narysowane, ani jednak dwóch linii sam skleić nie potrafię — o ile nie czytam głośno, lub nie piszę zadanego mi „sekretarza” do rymów, lub o ile np. nie słucham opowiadań Sichulskiego, który nie powinien dostać rozgrzeszenia, jeśli ich tak, jak mówi, nie spisze, — obserwuję robotę i uczę się różnych rzeczy z psychologii rysunku i stylu w czasie rysowania. Gdybyż był czas, aby i o tem coś Wam powiedzieć!

Wspomniałem o Maszkowskim. Dziedziczna to przyjaźń. Siedli tak kiedyś ze mną na pradžadowskim „szlabancie” w bibliotece, on i szwagier mój Kazimierz Wolski... Kazio, morowy chłop i dzielny żołnierz, awansowany na polu bitwy za złapanie własnoręczne z pośrodku nieprzyjaciół bolszewickiego pułkownika do niewoli. Nad nami wisiała litografia z przed 80 lat, rysowana w Medyce przez Marcelego Maszkowskiego, ojca pana Karola, przedstawiająca grupę przyjaciół a wśród nich mego dziadka Mieczysława, dziadka mej Żony, ukochanego „Lusia” Wolskiego i Karola Maszkowskiego, ojca pana Karola. Są też tam Mieczysław Romanowski, August Bielowski, Bruno Bielawski, Maszkowscy, wczorajsze ich pokolenie: Marcel, Karol, Rafał — najświetniejszy dyrygent, któremu szwaby wystawiły pomnik we Wrocławiu. Koledzy Grottgera i Matejki i drugiego dziadka mej Żony, Karola Młodnickiego w Monachjum. Ośrodek polskiej bohemy monachijskiej. Przygotowane niemal do druku ich dzieje, dole i niedole studenckie, przygody, awantury — w listach i rysunkach godnych Gavarniego — żywa historia, wobec której błędnie Murger — czekają lepszych czasów w archiwum „Biblioteki Medyckiej”.

Ale zbierajmy rozsypany wątek tego gadania.

Kiedy do rysunków niema dość rąk albo ochoty, bo w ciągu dnia zbyt wiele malowało się poważnie, zapanuje „kłapka” o tem i owem, o starych czasach i dawnych ludziach, których pamięć trzeba przechować — o nowych drogach, ich ślepych korytarzach i ich wielkich szlakach, idących z przeszłości w przyszłość — o wartościach bezwzględnych we wszystkim nowem i starem, o treści i o formie... o różnych przygodach i podróżach, o wszystkim, czego człowiek niedoskonały potrzebuje do życia i czem się umocnić może: o wielkości gór i natury, o wielkości i mocy dusz ludzkich, świecących nieraz pod kamieniami, które tylko odsłonić potrzeba, aby oświeciły drogę. Czasem kiedy przyjedzie „*le bienheureux Paul d'Autun et de Medyka*”, czy Ferruccio Lupis, czy kochany kompan Egisto de Andreis, snuje się perspektywy szerokiego, serdecznego braterstwa idei. Czasem Lela bierze gitarę i z innymi niewiastami domowymi śpiewa piosenki ludowe, których nazbierała setki od służby, z pola, z ulicy, z różnych okolic — nie mówiąc o Kolbergu. I gdzież tu jest czas na radio?... A czasem wreszcie trzeba mieć czas, by przestać wogóle myśleć. I gdzież byłoby tu miejsce na bridża? Nie tak znów wiele czasu zostawiają nam czasy na to wszystko.

Dzisiaj chcielibyście, bym czytał „Króla-Ducha”. Powiadacie, że to robię dobrze — może być, nie trudno temu, kto się na tem wychował, miał w domu wszystkie rękopisy „Króla-Ducha” — odcyfrowując słowo po słowie, szukając związku setek odczytanych ustępów, odczytując pod wielokrotnymi skreśleniami — ciągle tak postępując za twórczą drogą poety. No, dobrze.

Lela odkłada węgiel. Każdy szuka sobie takiego miejsca, by nie potrzebował się ruszać w czasie czytania. Ktoś — kto haftuje, przestaje powoli i składa ręce na kolanach, zasłuchany. Papierosy dogasają i nikt nie zapala nanowo...

Każdy czuje, że tem lepiej będę czytał, im mniej myśli ubocznych krążyć będzie w powietrzu. Wchodźmy powoli w inny świat... Na stole leżą jakieś rękopisy Słowackiego, przedemną wydanie „Króla-Ducha” mego Ojca, przy którym zaznaczono mój niegodny wspomnienia współudział.

\*

Zanim jednak zaczniemy, trzeba zdać sobie sprawę z kilku rzeczy, o których musimy pomówić. To, co powiem będą to zatem luźne uwagi wstępne do lektury — nie wykład. Jeśli bowiem chodzi o wykład „Króla-Ducha”, to do tego wydawnictwa, o którym wspomnieliśmy, a którego cały tom zajmuje komentarz, niema już wiele do dodania, a i to interesowałoby tylko polonistów, wchodzących w szczegóły tekstu. Tym dziś niczego nowego nie powiemy. Może zresztą powiemy, ale nam w tej chwili o to nie chodzi.

Poeta i dzieło stanowią własność narodu, nie zaś wyłączną domenę historyków literatury. Ich obowiązkiem jest dzieło objaśnić, zapośredniczyć w jego poznaniu i do poznania tego przygotować. Można rzec, że obowiązek ten w odniesieniu do „Króla-Ducha” został spełniony. Żaden jednak wykład o jakimkolwiek przedmiocie nie będzie dostateczny bez możliwości wyobrażenia przedmiotu drogą demonstracji, — a już wszelkie relacje stają się zupełnie bez wartości, gdy chodzi o dzieło sztuki, jeżeli się przed samem dziełem nie stanie twarzą w twarz, nie zazna go oczyma, czy nie usłyszy, jeżeli się atmosferą natchnionej myśli, która je stworzyła, nie odetchnie.

Te więc, przed lekturą uwagi wstępne, będą dla świadomych przypomnieniem, dla nieświadomych skrótem pojęć zasadniczych, to zaś co w nich nowe, niema w tem miejscu pretensji do naukowego ujęcia.

Opowiedzenie treści poematu, o którym chce się dać pojęcie, stoi na ostatniem miejscu. Nie treść bowiem fabularna, a przynajmniej nie więcej niż jako cząstka składowa jego istoty, stanowi o wartości poematu.

Teoria sztuki od czasów bardzo dawnych jest w pewnym dialektycznym nieporządku. Ustaliło się zdanie, mające za podstawę słuszość niezbitą, ale formalnie paradoksalnie błędne. Zadanie dzieła sztuki — twierdzi ono — nie wyczerpuje się w odpowiedzi na pytanie „co?”, ale w odpowiedzi na pytanie „jak?”. W odpowiedzi na pytanie „co?” podaje się treść, — na pytanie „jak?”, podaje się sposób jej przedstawienia. Otóż przeciwnem wszelkiej logice jest, aby o wartości stanowiła nie treść, lecz środek. Tymczasem wyjście jest bardzo łatwe.



# NA WIDOWNI

Horyzonty, natchnienia i konjunktury. — Czy morze jest od święta i tylko w lecie. — Jak to było tysiąc lat temu, a przed stu laty i tej wiosny jeszcze? — Poezja i polityka. — Czy wystarczy się kąpać, by wyleczyć organizm? — O rasie, która się nie boi wody.

**P**ISZĘ tę pogadankę w atmosferze „święta morza“. W wilgę Piotra i Pawła odezwały się nad Wisłą syreny. Gdzie kto się znalazł, tam stanął i milczał minutę. Wyraźnie dał się słyszeć wiatr od morza i załopotał wywieszonymi flagami. Na ten dzień przeniesiono obrzędy z wigilji św. Jana, z nocy Kupałnej. Apostołowie Piotr i Paweł musieli się podzielić nazajutrz swoim świętem z — morzem.

Stwierdzono już powszechnie, że był w tym obchodzie moment jakiejś sztywności pomysłu, jakby ten pomysł przyszedł do kalendarza nie z natchnienia wewnętrznego, i dla tego tak się niezręcznie zderzył z tradycjami pogańskimi nocy Świętojańskiej i z katolicką obrzędowością święta. Ks. biskup Okuniewski w liście ogłoszonym przez K. A. P. zwrócił uwagę komitetom obchodu, że na przyszłość, urządzając święto z uroczystymi nabożeństwami w programie, niech się wprzód porozumieją z władzą kościelną. Istotnie, nie łatwiejszego, jak — po wytworzeniu takiej kolizji — oskarżyć potem biskupów o brak lojalności państwowej.

Nie trzeba się jednak dziwić niczemu, kult to bowiem nowy dla wielu w Polsce ludzi — ten kult morza. Bardzo nowy.

Dawniej przed wiekami Polska bez specjalnego święta pamiętała o morzu swoim. Prowadziła ich tam Wisła. Nie było jeszcze mechanicznych syren, któreby przypominały Polsce o morzu. Śpiewała o niem pieśń, w duszy polskiej zrodzoną, polska syrena (Meluzyna) — Wanda. Wanda jasnowłosa, piastunka Polski, śpiewająca nad jej kolebką pieśń o Sławie i Potędze, Wanda, co nie chciała Niemca.

W roku ubiegłym miałem zaszczyt i przyjemność, że mogłem zamieścić w redagowanym przez siebie „Pamiętniku Koła Kielczan“ pracę znakomitego historyka Kazimierza Tymienieckiego „Związki ziemi kielecko-sandomierskiej z Bałtykiem“ w początkach państwa. Przytoczono tam z najstarszego kronikarza Galla pieśń, którą śpiewało rycerstwo Bolesława Chrobrego o morzu:

Naszym przodkom wystarczały ryby słone i cuchnące.  
My po święcie przychodzimy, w oceanie pluskające!  
Ojcom naszym wystarczało, jeśli grodów dobywali,  
A nas burza nie odstrasza, ni szum groźny morskiej fali.  
Nasi ojciec na jelenia urządzali polowanie,  
A my skarby i potwory łowim, skryte w oceanie.

(przekład z łaciny)

Polska miała wtedy brzeg do Odry 351 kilometrów długi, gdy dziś ma 76. Przyszły czasy takie, że już nie miała ani metra i państwo znikło z powierzchni. Pieśń o Wandzie zamierała, a Wisła zarastała lawinami i sitowiem.

Gdy zabłysła pierwsza sposobność odbudowania państwa polskiego za Księstwa Warszawskiego, 125 lat temu, pułki polskie poszły ochoczo pod Gdańsk. Całą wiosnę od lutego do maja 1807 r. dziadowie nasi (był tam i mój) oblegali Gdańsk w głodzie, chłódzie i wodzie. Nad grobem jednego

z żołnierzy, który zginął pod Wisłoujściem, Aleksander Sapieha w mowie żałobnej powiedział:

„Kiedys gdy losy przestaną nas nękać, Polak powrócony do dawnego bytu, obstępiony swoją rodziną, wskazując jej będzie ten grobowiec, jako ślad zasług naszych i jako naukę, jak wiele kosztuje odrodzenie się upadłego narodu“.

Tak, tylko kosztem wielkiego podniesienia ducha na wyżyny pojmowania zadań dziejowych odrodzić można państwo. Gdańsk zdobyto w maju kosztem krwi polskiej. Legł tam 2000 rycerstwa polskiego.

Zdobycie Gdańska wywołało w Warszawie entuzjazm. Wierzano w gwiazdę Napoleona i w to, że Gdańsk przy Polsce zostanie. Stało się inaczej; wówczas to w maju 1807 było ostatnie wielkie święto morza. Tegoż wieczora, bez żadnego zarządzenia ze strony władz, w całej Warszawie iluminowano domy...

Prusy Gdańsk dostały, a wszystko już potem przez całe stulecie działało się tak, żeby wzrok i duszę Polski odwrócić od morza i Prus, aby Polak zapatrzył się na wschód i zapomniał o tem co było. Wnuki już nie bardzo wiedziały, o co się dziadowie bili pod Gdańskiem i jak się tam kiedyś miasta nazywały na Pomorzu. Mam na myśli zabory rosyjski i austriacki.

W Warszawie dopiero w r. 1887, dając wyraz budzącej się w narodzie świadomości, Popławski zagał dalszą pracę myśli w ten sposób (w „Głosie“):

„Nasi politycy marzą jeszcze o Kijowie, ale o Poznaniu już dbają, o Gdańsku zapomnieli prawie zupełnie, o Królewcu i Opolu nie myślą zgola... Czas już po tylu wiekach błąkania się po manowcach wrócić na starą drogę, którą ku morzu trzebiły krzepkie dłonie wojów piastowskich“.

Był to załączek programu rodzącego się wtedy prądu „wszechpolskiego“, który potąd nurtował sumienia i budził, aż doprowadził do traktatu Wersalskiego w r. 1919, który nam dostęp do morza zapewnił.

„Czas już“ — pisał Popławski. Ale nie dla wszystkich czas ten nadszedł. Oto w r. 1920 ci, którzy „marzyli jeszcze o Kijowie“, wyśmiewali tych, którzy na serio brali kwestję morza. Właśnie latem tego roku opowiadał mi Żeromski na Helu, jak go w sferach, do których, odchodząc od Popławskiego, był przyłgnał, szykanowano za jego „wiatr od morza“.

To też niezmiernie się ucieszyłem teraz, czytając telegram urzędowej PAT-icznej z Gdyni, że

„na wzgórzu Rożewia u stóp latarni morskiej odbyła się podniosła uroczystość złożenia przez naród polski hołdu wielkiemu poecie, piewcy morza, Stefanowi Żeromskiemu. Na polanie, przed latarnią ustawił się szwadron honorowy 2 p. szwoleżerów z poczem sztandarowym i orkiestrą pułkową oraz liczni letnicy z okolicznych uzdrowisk. Raport odebrał przy dźwiękach hymnu narodowego delegat rządu p. minister przemysłu i handlu dr. Zarzycki w otoczeniu generała Orlicz-Dreszera, prezesa Ligi morskiej i kolonjalnej, komandora Unruga i licznych przedstawicieli władz i urzędów“.

Ucieszyłem się, jako Polak, że taki zwrot nastąpił, jako przyjaciel Żeromskiego i jako miłośnik literatury. Bo pomyśleć tylko, jak wielką rolę odgrywa w naszym życiu poezja. Współcześnie z Żeromskim pracował dla idei morza Roman Dmowski. Dzięki jego polityce uzyskaliśmy ten brzeg morski. Traktat Wersalski — to też dzieło. Ale że nie jest to dzieło literackie, więc komuż w Komitecie obchodu mogłoby przyjść do głowy jego nazwisko. Nawet się nie da pomyśleć, aby mógł być zaproszony, jako gość, na powyższą uroczystość. Rzecz dziwna,



że literatura nie docenia tego przywileju i ciągle skarży się na upadek swego znaczenia.

Żeromski się wyłamał z pod opieki towarzyszy z PPS. Ci pod auspicjami masonerii i pod kierownictwem Żydów murowali grób dla tradycji polskiej; tam nie dochodził wiew od morza. Iluż to wysiłków kosztowało tę znaną kompanję, żeby na czas wojny zapanowała w Polsce orjentacja pro-germańska, ile nienawiści ziało przeciwko tym, którzy myśleli o zjednoczeniu i dostępie do morza!

Dzisiaj, kiedy wszystkie te trzy czynniki wymienione wyżej doznały w Niemczech upokorzenia, tak się zmieniła atmosfera, iż trudno sobie wyobrazić, że możliwe było takie obumarcie serca polskiego. Teraz wszystko się odwróciło tak szczęśliwie dla sprawy, że owszem tamten obóz z fantazją oskarża stronnictwo narodowe o sympatję dla Niemiec. Jedno tylko z dawnego bloku pro-germańskiego „Słowo“ wileńskie oświadczyło się przeciwko świętu morza. Wyjątek taki można zrobić dla Radziwiłła. Pewno ma w herbie: *semper fidelis*.

Nawet stary „Czas“ krakowski w artykule świątecznym głęboko się zastanawia nad tem, co by zrobić, że Pomorze kochało Polskę i trwale się z nią związało. Ponieważ jest to pora ruchu wakacyjnego, więc nasunęła mu się myśl, żeby wszyscy obywatele udawali się latem na wypoczynek na plażę bałtycką. W ten sposób przyjdziemy z pomocą materialną biednym Kaszubom. Jest to, owszem, myśl zdrowotna, choć nie nowa. Chodzi jednak o to pojęcie „wszyscy“. Pomorze ma też swój pogląd na politykę gospodarczą i duchową, wogóle narodową. Ono nie chce „wszystkich“. Nie należałoby robić mu na złość. To, co się słyszy o Gdyni, że grozi jej zalew Żydostwa, jest wieścią o klęsce Pomorza. Bo to już nie letnicy, to stali goście.

Wogóle co do Żydów w tem święcie morza jest wiele niedopowiedzianego. Żydzi są od maja, zdaje się nawet od kwietnia r. b. patriotami polskimi, ale ich rola w Polsce jest dawniejsza. Ona wzrastała w miarę kurczenia się mieszczaństwa polskiego. Narodowe znaczenie morza mogło odczuwać narodowe mieszczaństwo. Odkąd Żydzi, w rezultacie polityki szlacheckiej, zajęli nasze miasta, podupadł handel polski, któremu potrzebne jest morze.

Żydzi nie lubią wody, zresztą przyzwyczajeni są, że w razie potrzeby morze rozstępuje się przed nimi. Wolą drogi suche. Oni nie mogą śpiewać z naszymi marynarzami:

A nas burza nie odstrasza, ni szum groźny morskiej fali.

Brzeg morza — to niby usta. Kiedy dźwięki chore na szkorbut i zęby wypadają, to — o ile wiem — leczyć trzeba cały organizm, nie wystarczy płukanka odolem. Więc i porada „Czasu“ nie wydaje mi się wystarczającą. Należałoby wyleczyć miasta polskie z Żydów i w tym kierunku wogóle prowadzić politykę lądową i morską. To też bardzo się ucieszyłem, gdy usłyszałem w mowie uroczystej gen. Dreszera, prezesa Ligi Morskiej i kolonjalnej, słowa tak dźwięczne „nasza młoda i dzielna rasa“, pełne nadziei na ambicję narodu polskiego. że nie odda Pomorza Niemcom. Sprawdziłem w „Gazecie Polskiej“ i była istotnie mowa o rasie w liczbie pojedynczej.

Bo tak jest; przyszłość naszego Państwa musi wziąć na swą odpowiedzialność naród polski. Nikt inny. I w tym duchu trzeba naród wychowywać,

na nim rachubę polityczną opierać, nie na koniunkturach patryjotyzmów przygodnych.

Cóż więcej mam powiedzieć? Otworzyłem widok na morze na przestrzeni do tysiąca lat wstecz. Pokazałem, jak ten widok się zwał, ile kto widział w r. 1807, 45 lat temu, jak to było w latach: 1914 — 19, a potem w 1920 i dalej, jeszcze tej wiosny nawet. Jak to na morzu: igraszka fal, gra światło-cieni w sprzecznościach, ciągła rozmaitość w niezmienności. I dlatego tak falista jest moja „widownia“.

ZYGMUNT WASILEWSKI

## G Ł O S Y

MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA EKONOMICZNA w Londynie uchodzi w obecnej chwili za centralny zbieżny punkt zainteresowań politycznych całego świata. Spoglądając w tamtą stronę, ogół czytelników gazet odczuwa jednak, że dość trudno mu wyrozumieć, co się tam właściwie dzieje. „Opinia“ międzynarodowa (jeśli o takiej mówić można) z pewnością nie „współpracuje“ z konferencją. Można być pewnym, że bardzo liczny sztab delegatów i ekspertów, wysłanych na zjazd przez różne państwa, nie wiele czynniej „współpracuje“ i nie wiele więcej ponad to, czego się dowiaduje z prasy. Mimo że nie oficjalnie nie słychać o końcu konferencji, główny delegat polski, wiceminister Koc, wrócić ma do Warszawy już w tym tygodniu. W pamięci rodaków zostanie przemówienie reklamowe, jakim wstąpił państwo na otwarciu konferencji. Polska, zdaniem wiceministra, jest tym bodaj jedynym krajem w Europie, co pracował i nie oglądał się na pomoc finansową zagranicy. Należy przypuszczać, że ci wszyscy uczestnicy konferencji, którzy p. Koca poznali w czasie długich i bezowocnych jego starań o pożyczkę zagraniczną w Paryżu („realizacja drugiej transzy“) — zachowali należyta powagę. Czczosć wyników, jać na swoje dobro mogą zapisać poszczególne delegacje, jest zresztą w ścisłym związku z faktem, że konferencja, zapowiadana tak uroczyście, wyglądała tęsknie przez wielu, i przywitana hucznie przez prasę, — jest tak nad wszelkie spodziewanie czeza. Zagadnienie walki z kryzysem gospodarczym wogóle zeszło na plan drugi. Zajęto się prawie wyłącznie pomniejszą kwestją stabilizacji walut. Lata ostatnie dowodnie wykazały na efektywnym przykładzie angielskiego funta, że i ta kwestja niezawsze da się uregulować w myśl życzeń poszczególnych rządów. Zdarza się (naturalnie w dobie przesilenia gospodarczego), że waluty spadają wbrew wszelkim wysiłkom rządu, aby spadek kursu powstrzymać. Konferencja skoncentrowała się więc na najwyższym zagadnieniu: przeciwdziałania próbom umyślnego obniżania kursu waluty, w czem, jak wiadomo, przoduje Ameryka. I tu oczom całego świata przedstawił się efekt najciekawszy. Rozbieżności polityki monetarnej okazały się nie do pogodzenia. Wielkie mocarstwa zwołują wielką konferencję — bez żadnego w gruncie rzeczy przygotowania, bez gwarancji jakichkolwiek wyników. „Koordynacja“, to ulubione słowo publicystów anglo-amerykańskich, w rzeczywistości, jak się okazuje, nic nie znaczy. Państwa mniejsze pozostają biernymi widzami polityki zjazdów, prowadzonej przez wielkie mocarstwa — na chybił trafił, jeśli chodzi



o wyniki. „Koordynacja“, znajdująca swój wyraz w paktach i konferencjach wszechświatowych uwydatnia tylko drastycznie, że jedynymi siłami realnymi są wyłącznie niepodgodzone dążenia i egoizmy narodowe. Bezowocność konferencji rozbrojeniowej, fiasco wszechświatowej konferencji gospodarczej, i niewiążący charakter „paktu czterech“ pouczają o tem dostatecznie przekonywująco.

**N**IEZMIERNIE CHARAKTERYSTYCZNA w tem wszystkim jest niezdolność pacyfizmu zachodniego do stworzenia dzisiaj czegokolwiek realnego w dziedzinie międzynarodowej. Nawet gdy chodzi o kwestję tak wdzięczną, jak stabilizacja walut na czas paru miesięcy, tam gdzie zależy to tylko od woli ludzkiej, — międzynarodowy „rozsądek gospodarczy“ nic zdziałać nie może — tak jakby całkiem nie istniał. Silny ten fałszywy „pacyfizm“ czy „liberalizm“ jest tylko tam, gdzie chodzi o hodowanie starych przesądów, osłabiających dziś państwa i narody. Po dziś dzień utrudnia on wielu głowom zrozumienie, że główną siłą, kształtującą stosunki w powojennej Europie, są prądy nacjonalistyczne. Pozostałością jego jest panujące jeszcze w wielu krajach wsteczniectwo w zapatrywaniach na kwestję żydowską, sugestją jego tłumaczą się też niepotrzebne niepokoje, wynikające z niezrozumienia, jak dalece nacjonalizm dzisiejszy wyeliminować może ze stosunków międzynarodowych element nienawiści i jak poważnym w nim składnikiem jest szacunek dla odrębności narodów obcych, ich odmiennych ustrojów i sposobu myślenia. Nie równa się zapewne bezgranicznej tolerancji, lecz kryje w sobie skłonność do spojnej oceny nawet wrogów.

Pacyfizm pod tym względem jest śmiesznym nacjonalizmu kontrastem. Ma on to do siebie, że wrogów, których sobie upatrzy, demonizuje naprawdę. Nie brak i w Polsce miłośników całej ludzkości, którzy za szatanów wcielonych mają tylko Niemcy i Rosję... narody z którymi Polska najwięcej ma do czynienia. Nic dziwnego, że miłośnictwo takie mało co innego ma do roboty, oprócz oczerniania i szkalowania innych. Nic dziwnego też, że w akcji tej sprzymierza się łatwo z najpłytszym i najtandetniejszym „nacjonalizmem“. W tej mierze nasz krajowy pacyfizm bardzo chętnie współpracuje z sanacją. Do niedawna wszelka potwarz, rzucana na Rosję, uchodziła w pewnych kołach za rzecz przystojną i godziwą, a znów w sferach, które najwięcej szczyliły się polską inicjatywą „rozbrojenia moralnego“, dobrze widziane jest i nadal miotanie oszczerstw na ruch hitlerowski. To też zauważyć należy, że wybitna poprawa w stosunkach polsko-rosyjskich, ostatnio przypieczętowana pożyteczną umową londyńską, określającą pojęcie „napastnika“, i względna w urzędowych stosunkach polsko-niemieckich, nie były przygotowane jakąkolwiek wewnętrzną ewolucją ideową wewnątrz rządzącego obozu „sanacji“. Urzędowi kierownicy polityki polskiej gonili tylko, popędzani koniecznościami sytuacji, szybką ewolucją zdarzeń w stosunkach międzynarodowych, na którą myśl ich obozu nie przygotowała ich zupełnie. To nieprzygotowanie kryje w sobie to niebezpieczeństwo, że zrozumienie rzeczywistości przyjść może czasem zbyt późno. W pojmowaniu kwestji żydowskiej np. sanacja jest dziś tak uwsteczniiona, jak przed dziesięciu laty w pojmowaniu kwestji rosyjskiej.

**Z**POWODU USUNIĘCIA Z NIEMIEC żydowskiego profesora uniwersytetu — Einsteina, równie jak z powodu innych rugów „intelektualnej elity wszechludzkiej“ żydzi zrobili niesamowity gwałt w oskarżaniu rządu hitlerowskiego o „wojnę z nauką i duchem“. Ale, jako zawodowi oszuści, przemilczają co do Einsteina jedną maleńką okoliczność: że jest on komunistą i współpracuje z bolszewikami. „Wielki matematyk, autor „teorii względności“, „chluba ludzkości“, jak go stale żydzi obmianowują, profesor Einstein członek *Institut de Coopération Intellectuelle* — W lutym 1927 r. był honorowym prezesem bolszewickiego kongresu antykolonialnego, który odbył się w Brukseli. Charakter i cele tego kongresu zdemaskowała prasa szwajcarska, francuska i belgijska. Wycho-dząca w Warszawie „Walka z bolszewizmem“ w zeszyt V z 1927 r. ogłosiła szereg dokumentów, kilkaset nazwisk i nazwy organizacji, które współpracują z Kominternem w bolszewizowaniu kolonii.

Szwajcarskie pismo „*L' Assaut*“ w zeszyt z d. 15 grudnia 1927 r. ogłosiło, że Einstein stale współpracuje z bolszewikami i że jest prezesem niemieckiej sekcji bolszewickiej organizacji W. O. K. S. (*Wsiesojuznoje Obszczestwo Kulturnych Snoszenij s Zapadom*), której centrala znajduje się w Moskwie. W. O. K. S. ma na celu propagandę bolszewizmu wśród inteligencji. Sekcja niemiecka W.O.K.S. wydawała wówczas pismo propagandowe Kominternu p. t. „*Das neue Russland*“ a Einstein brał udział w tej akcji wydawniczej. Prasa szwajcarska nazywa Einsteina „zdrajcą nauki i cywilizacji“, i żąda usunięcia go z *Institut de Coopération Intellectuelle*.

Tak się przedstawia obywatelska legitymacja Einsteina. Jest rzeczą jasną, że rząd niemiecki wydał nie matematyka i „chlubę nauki“, ale poprosztu — bolszewika. Jeżeli zaś tak się ma sprawa z największym uczonym żydowskim, to jak tam z bolszewizmem jest powiązana cała ta banda pomniejszych? Żyd wieczny oszust ukrywa to teraz starannie, zwłaszcza w Polsce, do której wśród żydów taki nagle zapłonął ogień gorącego „patriotyzmu“.

**I**NTELLEKTUALIZM POLSKI NIE DOPISAŁ. Żydowski „Nasz Przegląd“ w końcu kwietnia r. b. rozpoczął na wielką skalę zakrojoną ankietę pod szumnym tytułem: „Intelektualiści polscy o prześladowaniu żydów w Niemczech“. Ankieta „Naszego Przeglądu“ wśród przedstawicieli polskiego świata intelektualnego“. Z początku ankieta szła raźnie, wnet jednak okulała, a od pierwszego czerwca stanęła na punkcie martwym. Na żydowski apel zgłosili się, naturalnie, tylko ci, którzy po-tępiali Niemców, a pod skrzydła współczucia swego, przyjaźni i szacunku brali żydów. Znalazło się takich aż dziesięciu z „polskiego świata intelektualnego“, a oto ich nazwiska w chronologicznym przemówień porządku:

Profesor Kotarbiński Tadeusz, Irzykowski Karol, Boy-Żeleński Tadeusz, Wierzyński Kazimierz, Jaracz Stefan, prof. Zieliński Tadeusz, Skoczylas Władysław, Nałkowska Zofja, Witwicki Władysław, Krzywoszewski Stefan.

Ponieważ trzeba spośród nich usunąć jednego, jako żyda, więc pozostaje dziesięciu przedstawicieli polskiego świata intelektualnego. Nawet przy najskromniejszej ocenie kultury polskiej trudno



te flosz nazwać imponującą. Zaś co do zawiesistości i witaminowości tej śmietanki intelektualizmu polskiego, to niewiadomo doprawdy, jakiej ją poddać analizie. Odłożmy tedy to na później. A narazie zauważmy, że trzech spośród tych ludzi, jako masoni, odpowiedzieli z musu i z nakazu tajnej a bezwzględnej w wyrokach swoich organizacji międzynarodowo - żydowskiej. Trzej inni odpowiedzieli z musu zależności bezpośredniej od organizacji żydowskich kulturalno - społecznych. A trzech pozostali odpowiedzieli z trwogi przed bojkotem ze strony bogatej publiczności żydowskiej. Nie można brać w rachubę głosów tak niewolniczych, albo ludzi tak bardzo od żydostwa materialnie zależnych. Nie wdając się nawet w ocenę umysłowości wielu z tych ankietowiczów, o czym sporo dałoby się powiedzieć, trzeba przyznać, że plon owego żniwiarza ankiety, wywiadowcy Pommera, zbliża się do zera.

Poczekajmy jednak jeszcze kilka miesięcy, przynajmniej do czasu kopania kartofli. Może ankieta jeszcze trochę (kulejąc) naprzd się posunie. Wtedy powrócimy do niej i może bliżej ją obejrzymy, a to pod względem zawartości rzeczowej, poziomu i wartości moralnej.

**P**ISZĄCY TE SŁOWA, dorywczo tylko czytający pisma żydowskie, kupował jednak regularnie w ciągu ostatnich trzech tygodni „Wiadomości Literackie”. Przyczyną był drukowany na łamach tego organu, chętnie udzielającego gościny aryjczykom, reportaż p. Antoniego Sobańskiego o Niemczech hitlerowskich. Rzeczowe te artykuły komunikowały szereg autentycznych wrażeń autora, silącego się szczerze na bezstronność, i z tego względu znacznie ciekawsze były od rozpowszechnionej propagandowej tandety informacyjnej. Najciekawsza jednak była sposobność do zaobserwowania przytem, jakie, dla „liberalnego” umysłu, są naturalne granice bezstronności. Trudno z tego robić zarzut podróżnikowi: poprostu, gdy miał pisać o nacjonalizmie, na myśl mu nie przyszło poznać młodych nacjonalistów, czy w Niemczech, czy też w Polsce. Nic bardziej typowego, niż to przeoczenie. Charakterystyki gotowe cisnęły się pod pióro. „Wątpię, aby nasz student - nacjonalista, spalający się w szale nienawiści do wszystkich sąsiadów Polski i do wszystkich jej mniejszości, znalazł w sobie dużo miejsca na duchowość, już nie mówiąc o uduchowieniu”. Jasne jest, że dużo musiał autor dowiadywać się o studentach polskich z kronik Słomimskiego. W wędrowce po Niemczech nie zawadził o nikogo z głównej, kształtującej życie nacjonalistycznej młodzieży na uniwersytetach, organizacji *Deutsche Studentenschaft*. Zapewne, nie czuł po temu zainteresowania. Ale niezmiernie to typowe dla liberalnego poszukiwania prawdy, że i w uroczyste imię bezstronności nie przełamuje się tego braku zainteresowania.

## NAUKA I LITERATURA

### POWIEŚĆ ANGIELSKA

**O**STATNIA powieść Phyllis Bentley p. t. „*Inheritance*” (Gollancz 1932), bardzo przychylnie przyjęta przez krytykę angielską, postawiła autorkę odrazu w pierwszym szeregu powieściopisarzy swego kraju.

Treść stanowi historia rodziny fabrykantów sukna z Yorkshire, ukazana na tle rozwoju przemysłu tkackiego

i związanych z nim ruchów robotniczych od początku zeszłego stulecia, aż do czasów upadku rządu socjalistycznego w Anglii. Najbardziej rzucającą się w oczy cechą tej powieści jest jej zadziwiająca zwięzłość i, co za tem idzie, surowy, tak rzadko w obecnej sztuce obserwowany, mocny gmach konstrukcji. Zamiar zawarcia na przestrzeni niecałych 600 stron dziejów ośrodka tkackiego w Yorkshire, a może w pewnem znaczeniu usymbolizowania dziejów rozwoju imperjalistycznego w Anglii, został przeprowadzony znakomicie i książkę Phyllis Bentley można postawić śmiało w jednym rzędzie z „Sagą Forsytów” i „Budenbrookami”. Ludzie tam żyją, choć przed naszymi oczami przesuwa się pięć, czy sześć pokoleń, a taka jest siła sugestyjna przedstawienia, że w parę miesięcy po przeczytaniu książki stoi jeszcze przed naszymi oczyma cała galerja rodziny Oldroydów od twardego, napół chłopca jeszcze, właściciela Lyke Mill, zamordowanego przez Ludditów, aż do delikatnego, steranego wojną i kryzysem współczesnego właściciela fabryki. Ludzie są głównym przedmiotem zainteresowania autorki, krajobraz i tło epoki niewiele zajmują miejsca, a jednak ludzie ci nie poruszają się w próżni, tak doskonale w kilku słowach wydobyty jest nastrój właściwy, naszkicowane tło natury, zaznaczony charakter otoczenia. Na każdym kroku czuje się, że dzieło Phyllis Bentley nie jest owocem kilkumiesięcznych studiów nad przypadkowo wybranem z ciekawości Yorkshire, jak to się czuje na każdym kroku w takich „Czaraych skrzydłach” Bandrowskiego, ale że wszystko to, co się przesuwa przed naszymi oczyma, to rzeczy dobrze autorce znajome i drogie, wszystko to musi być właśnie tak przedstawione, jak jest, temi, a nie innymi słowami musi być opisane. Powieść odcina się wyraźnie od ogólnego charakteru literatury współczesnej swym czystym charakterem epickim, pozbawionym pierwiastka osobistego i nawet ilość dialogów jest stosunkowo minimalna. Czasem wydawać się może, że czytamy powieść z przed kilkudziesięciu lat, tak wiele zawdzięcza autorka tym czasom, nawet rzadkie chwile sentymentalizmu o zupełnie niedzisiejszym charakterze. Tragizm, to tragizm przeznaczenia, również bardzo mocnymi, szkicowymi rysami przeprowadzony. Po głębszem zastanowieniu wydawać się może mocno nieprawdopodobne, że z taką ironją los wiąże nieustannie rodzinę Oldroydów z rodzinami morderców założyciela rodziny. Jednakże nie zauważamy tego podczas czytania, a przecież Dickensowi zarzucano jeszcze cudowniejsze zbiegi okoliczności.

Treść wewnętrzną stanowi konflikt między siłą dziedziczności (tytuł „*Inheritance*”), a wpływem wychowania i warunków zewnętrznych, i tu z wielką siłą podkreślane jest znaczenie tradycji i umiowanie dawności, nie tak zresztą dawnej, która reprezentuje wszystko dobro. Książka jest potępieniem rozwoju techniki, który przyniósł niechęć do pracy i żądzę pieniądza. Umiowanie pracy daje miłość życia, pieniądź zaś to ucieczka przed życiem, która prowadzi do wykojenia. Tutaj, niewypowiedziana w ostatnich rozdziałach, które mają tłumaczyć myśli powieści, o ilej lepiej tłumaczone samą treścią, kryje się niechęć do postępu, a raczej niewiara w postęp, tak charakterystyczną dla współczesności. Rozwój i załamanie industrializmu służą za przykład, a także człowiek, który nie zmienił się na lepsze. Subtelna, skomplikowana natura ostatniego z właścicieli Lyke Mill kryje w sobie pustkę, niezdecydowanie i niedołęstwo. Słowa młodego Smitha, który mówi z dumą: „Mój ojciec nie robi nic; jest gentlemanem” są znamienne.

Ostatnia część książki przynosi optymizm — zapowiedź odrodzenia. Ostatni Oldroyd nie może znieść myśli o opuszczeniu ziemi rodzinnej, budzi się w nim umiowanie tradycji rodzinnych, zabitych w ojcu jego przez pieniądź. I podczas gdy ojciec, uratowawszy część majątku po bankructwie, jedzie na południe, by spokojnie dokończyć życia w bezczynności, on sam wyskakuje z pociągu i zostaje, by wskrzesić tradycje rodzinne, tradycje pracy. Książka Phyllis Bentley



pozwała wierzyć, że Anglja nie zestarzała się tak bardzo i że odrodzenie jeszcze jest możliwe. Obyż doczekała się u nas wkrótce dobrego tłumaczenia.

A. M.

## Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Giovanni Papini wydał świeżo książkę poświęconą Dantemu („*Dante Vivo*“, str. 445), w której na wstępie powiada, iż nie jest to książka „profesora dla uczniów, krytyka dla krytyków, pedanta dla pedantów” itp., lecz przeciwnie „chce ona być książką żywą człowieka żywego o człowieku, który po śmierci nie przestał żyć”. Nadewszystko jest to, zdaniem autora książki „artysty o artyście, katolika o katoliku, florentczyka o florentczyku”. W tej oryginalnej książce Dante wygląda mniej monumentalnie niż Dante legendarny i „urzędowy” zato więcej jako „syn słońca i ziemi”, jako człowiek „po ludzku — ludzki”, jak się wyraża Papini. Tego rodzaju Dante, nic nie traci ze swojej wielkości, przestaje jednak być postacią jedynie posagową i staje się, w książce Papiniego istotą prawdziwie żywą.

Nie zaszkodzi jednak przed czytaniem tej książki „artysty”, przeczytać wzorową książkę o Dancie „profesora” znakomitego dantologa, M. Barbi'ego. („*Dante, Vivo, Opere e fortuna*“ str. 270), która wyszła jednocześnie niemal z książką Papiniego. (W. J.).

\*

Zagadnienie zmniejszenia przywozu w stosunkach niemieckich omawia broszura dr. Ernsta Hickmanna p. t. „*Zur Frage der Einfuhrersparnis*“ („*Schriften des Deutschen Industrie — und Handelstags*“, Heymans Verlag, Berlin 1932 s. 52). Broszura rozpoczyna od bilansu płatniczego Niemiec, który stwarza konieczność dodatniego bilansu handlowego. Po zaanalizowaniu zarówno przywozu jak i wywozu niemieckiego, autor dochodzi do wniosku, iż koniecznością jest dalsze ograniczenie przywozu, aczkolwiek winno ono być przeprowadzone, ze względu na specjalne położenie Niemiec, z dużą ostrożnością. Punktem wyjścia winno być podniesienie i uszlachetnienie produkcji niemieckiej, przedewszystkiem rolniczej, któraby umożliwiła konkurencję towarów niemieckich z zagranicznymi. Jako środki ograniczania przywozu autor wskazuje ostrożnie stosowane podwyżki ceł, przymus używania surowców krajowych, standardyzację artykułów rolnych i przymusową gospodarkę dewizową. Możliwość zmniejszenia przywozu leży przedewszystkiem w dziedzinie przywozu artykułów żywnościowych oraz niektórych surowców, jak benzyna, węgiel, drzewo. (J. P.)

## ZMARLI

Ś. P. WINCENTY DRABIK

WIELKA stratę poniosła sztuka polska. W d. 2 lipca r. b. zmarł w Warszawie znakomity artysta malarz ś. p. Wincenty Drabik. Zmarł w pełni sił (ur. 1883 r.) w 50 roku życia, w pełni rozwoju wielkiego talentu.

Od chwili ukończenia krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pracował w malarstwie scenicznym. Na wybór tej gałęzi sztuki, tak bardzo do niedawna zaniedbanej, wpłynął Stanisław Wyspiański, jego mistrz, twórca właściwej sztuki dekoracyjnej w Polsce.

Pracę swoją ś. p. Drabik zaczął w Krakowie i Lwowie, przed wojną pracował już w teatrach Wielkim w Warszawie. W r. 1915 wyjechać musiał do Rosji, a powróciwszy do Warszawy objął kierownictwo artystyczne w teatrach miejskich i w teatrze Polskim. Teatry warszawskie dzięki jego talentowi i pracowitości, pod względem scenarii artystycznej współzawodniczyć mogły z największymi teatrami europejskimi.

Jego dekoracje grały na scenie wspólnie z autorem i aktorem. Nieraz trzeba się było zastanawiać, czy nie one decydowały o powodzeniu widowiska. Na ich widok często zrywały się na sali oklaski, taka była ich pomysłowość oraz harmonia w barwach i układzie. Wyspiański tylko w jego dekoracjach mógł być grany.

Ś. p. Drabik miał już swoją szkołę w warszawskiej Akademii sztuki pięknych, w której był profesorem.

Śmierć artysty okryła żałobą szerokie sfery świata artystycznego. Zmarły bowiem cieszył się wielką sympatią, jako człowiek dobry, prawy i szlachetny.

## OFENSYWA

REMEMBER PADOVER!

RAK moral - in - semity, toczący całą ludzkość, szczególnie silnie zaatakował i rozrósł się na amerykańskiej części jej organizmu. Tam, na wyspie Manhattam, gdzie nowojorskie Podwale (Wall - Street), gdzie puls świata bije najgoręcej, tam niektóre tkanki i włókna przegryzione są już doszczętnie rakiem moral - in - semity...

Jest rzeczą bardzo charakterystyczną, że prezydent Roosevelt wypowiedziawszy wojnę na śmierć i życie Scylockracji, najpierw musiał do okrągłego stołu swoich najbliższych doradców wziąć ostentacyjnie kilku żydów (Untemayer, B. U. Baruch, Zalman, Wahrburg), dopiero mając za plecami ich sukces, uderzył w cytadelę Morgana i dopiero po skompromitowaniu Morgana zaryzykował atak na samą Synagogę Szatana na Dom bankowy „Kuhn Loeb i Loevenstein”, finansujący od lat 50 wszystkie rewolucje i wojny domowe na świecie. Bez współpracy czy bez kontaktu z żydostwem, nie byłby się mógł odważyć na wojnę z gieldziarską Schylockracją. Dopiero kiedy poustawił swoich „lajbjudów” na widocznych frontach, mógł być pewnym, mógł liczyć na to, że przepotężne satanicznie, przewrotne, przebiegłe a bezwzględne żydostwo gieldziarskie nie wytyży, mszcząc się, wszystkich sił, aby z pomocą z „drugim ramieniem” radykalnych i komunistycznych żywiół, albo odrazu zwałił Roosevelta z jego reformami, albo też mając rezerwy 16 milionów bezrobotnych rozpętać komunistyczną rewolucję w Ameryce. Rak moral - in - semity jest tam bowiem bardzo rozrosły i potężny. Operacji tej części organizmu, to jest masowego linazu żydów w Ameryce można spodziewać się dopiero aż za jakieś lat pięć, sześć, to jest aż wtedy, kiedy wyeksponuje się przed Amerykanami całkiem jaśnie, jasno i plastycznie cooperation żydów z murzynami. Dziś Żydzi w Ameryce, nawet po wybicciu im kilku trzonowych zębów i wyrwaniu woreczków trujących, po ich niesłychanym zpauperyzowaniu, a dalej po zdyskredytowaniu (za bezcelne szczucie na Niemców) uadzał są jeszcze kapitalistyczną potencją wszechwładnie dystrybucyjną więc i absolutystyczną. Nawet prezydent — dyktator mógł podjąć z Mammonarchami walkę dopiero charakteryzując się na „humanitarne”, liberalistycznego judofila; Untemayer, Baruch, Wahrburg dopomagali mu do pogromienia kliki Morganoskiej; teraz będzie mógł dopiero swobodnie zknockować najsilniejszą bandę bankierską i najwplywowsze politycznie rojowisko bakterji moral - in - Semity: „Kuhn, Loeb i Loevenstein”. Do taki podstępów, do takich *camouflage*’ów, do takich *trick*’ów zmuszeni są najwięksi mocarze globu, nauczani doświadczeniem ostatnich lat 50, pamiętający dobrze jak genialne parszywce dyktowały rozkazy Wittemu, sułtanom, prezydentom Francji, Edwardowi VIII, jak wysypały wóz insektów w krwawiącą wszystkich ranami Rosję, jak dogryzały i omal nie dobiły Forda, jak znowu w nagrodę podparły w krytycznym momencie... Mussoliniego. Teraz, kiedy sztab bankowy „Kuhn, Loeb i Loevenstein” zapewne właśnie obmyślał sfinansowanie komunistycznej rewolucji w Niemczech, zdławienie Hitlera i dyktaturę Trockiego, kiedy fraternizujący z „*Jahudim*” Roosevelt właśnie pociąga się złotem potwora złapał za gardło i dusi.

W bardzo wysokich regionach zachodniego życia politycznego zmuszeni są eksponowani na samym froncie wielcy *proeminent*s czasami do kumania się z... „Untemayerami”, aby zwalczyć... „Obermayerów”, do ostentacyjnego afiszowania się z Baruchami czy z Rotszyldami aby dobrnąć się do jeszcze większych... jak Baruch, Lewiatanów, Bechemothów i Belpagorów. Muszą wtedy robić koncesje chwilowe, konjunkturne, które z naszej, powiedzmy sobie, żabiej czy parafjalnej perspektywy wydają się jakieś niepojęte i właściwie odrażające.

Historja dopiero osądzi, czy w danym momencie hegemonia Schylockracji na globie zmuszała tych *proeminent*ów do takich nieapetycznych ustępstw, reweransów i kompromisów...

My tu na miejscu w kraju, w Judosławji musimy nadal robić swoje, nazywać kota kotem, błoto błotem a przygotowywać, urabiać nadal opinię publiczną do bezapelacyjnie nadchodzącej rozprawy z wrogiem wewnętrznym, z rakiem moral - in - semity.

\* \* \*

W październiku r. 1932 utworzyło się w Ameryce z inicjatywy kilku profesorów tamtejszych uniwersytetów, głównie Polaków z pochodzenia, prof. A. Sempolińskiego, Edwarda von Meuge - Komorowskiego, prof. S. Piotrowicza i innych towarzystwo uczonych przyjaciół Polski: „*University Friends of Poland*”. Na omal stu uczonych Amerykanów



głównie z uniwersytetów katolickich (Loyola, Marquette, De Paul, Michigan, Chicago, Dartmouth-College, Buffalo, Urbana) zapisał się tylko jeden żyd prof. J. Tykociner z *Illinois-University*. Inni zaproszeni przez inicjatorów uczeni pochodzenia żydowsko-polskiego albo się wymawiali i wykręcali albo wprost kategorycznie odmawiali. Wszyscy bowiem expolscy „obywatele” byli wtedy *progerman*, i szczuli i judzili na Polskę i Polaków.

Wytworzył się tam teraz ciekawy problem: przyjmować do „*University Friends of Poland*” uczonych żydów, gdy się zaczęła masowo zgłaszać (z nienawiści do Niemiec)? Czy nie przyjmować?

Realista liczący się z jeszcze istniejącą potęgą Schylockracji powie: przyjmować! Ale patrzeć na ręce, śledzić każdy ruch, a kiedy coś radzą, doradzać postępować wprost odwrotnie gdyż wtedy... to będzie dopiero zgodne z interesem Polski.

Prof. uniwersytetu *Princeton* James T. Gerould drukował artykuł „*Disarmament and Treaty-Revision*”, omawiający życzliwie stanowisko Polski w związku z „Klubem Czterech”.

Prof. Frederick A. Ogg w artykule „*Polands News Foreign Policy*” również z życzliwością dla naszego punktu widzenia omawia ten sam temat.

Prof. Arthur P. Coleman (Columbia) w uniwersyteckim piśmie (*M. S. A. „Magazine for writers”*) z gorącą sympatią opowiada o współczesnej literaturze polskiej.

W majowym zeszycie „*Current History*” cały szereg uczonych z Columbji (New York) przemawia za koniecznością dostępu Polski do morza; najgoręcej broni polskiej tezy prof. dr. Parker T. Moon.

Gdy tak coraz liczniej a życzliwiej zabierają głos uczeni amerykańscy, jakiś spóźniony a wpół obłąkany antypolską wściekłą żyd Chicagoski Saul Padover wydaje gruby paszkwil na Polskę i Polaków. Tytuł: „*Let the day perish!*” („Niech zginie dzień!”... dzień, w którym powstało znowu państwo polskie).

Książka wyszła w Chicago w marcu. Kanałja była przedtem w Polsce, głównie w Galicji. Kanałję informowali działacze i dziennikarze żydowscy. Kanałja pisała np.:

„Wszystkie warstwy społeczeństwa połączyły się w jedynym wspólnym celu: zupełna exterminacja żydów. Każde miasto w Polsce jest wyspą, na której szaleją rozpętane namiętności tłumu. Żydzi nie mogą podróżować; kopią ich, biją, zabijają, rabują, wyrwają im brody”.

Takich szelmostw ten Sruł Padover napisał przeszło 200 stron. Potem przejeżdżał moral-in-semita przez Niemcy i w książce tej samej jest jeden wielki hymn dla niemieckiej etyki niemieckich porządków i sytuacji żydów w Niemczech pod opieką bohaterskiego prezydenta, marszałka Hindenburga.

Dzięki osobistej interwencji Paderewskiego w Chicago Padover książkę swoją wycofał z obiegu. W maju byłby ją prawdopodobnie wycofał... bez interwencji.

W „*Manchester Guardianie*” w tej cytadeli liberalizującej Schylockracji angielskiej, w potężnej i „poważnej” fabryce fałszowanych opinii obiegowych, drukującej dla swej klienteli bankierskiej stale także i... Trockiego, zabrał głos wieloletni czujnie zjadający nasz wróg, sługus Schylockracji niejaki Voigt w związku tym... koncertem paryskim... o „którym się nie mówi”...

Voigt pisał:

„Koncert ten może mieć bardzo wielką doniosłość polityczną. Paderewski jest figurą narodową, otoczoną w Polsce równą czcią wszystkich partii i wszystkich odłamów społeczeństwa. Należy przypuszczać, że ten niezwykły gość Paderewskiego na korzyść Żydów wywrze głębokie wrażenie w jego ojczyźnie, która jeszcze do niedawna uważana była za kraj tradycyjnego antysemityzmu. Czyn Paderewskiego przyczyni się nie tylko do wyleczenia Polski z antysemityzmu, ale uwypukli także w oczach całego świata różnicę między Niemcami, w których antysemityzm podniesiony został do godności polityki państwowej, a Polską, gdzie antysemityzm jest otwarcie i aktywnie potępiany przez jej najsympatyczniejszych synów i najbardziej popularnych obywateli”.

Manchesterski słuźalec bogatej a postępowej (ku paraliżowi) Schylockracji jest totalnie w błędzie.

Nazywać Polskę krajem „tradycyjnego antysemityzmu” to rekordowy fałsz lub rekordowa ignorancja.

Bóg da, że Polska wyleczy się ale wyleczy z gnuśnego, próżniaczego, tchórzliwego, biernego, poczwarnego, indolentnego, limfatycznego, huculskiego, białoruskiego, eurazjatyckiego, parszywie-słowiańskiego, kołtunowego już prosemityzmu. Bóg da, że Polska wnet

zacznie leczyć się na raka moral-in-semity, który biologicznej egzystencji Polaków już zaczyna zagrażać.

Koncert zaś, o którym mowa, mógł być czy tylko takim sobie epizodem, który wszyscy szybko wszelkimi siłami będą starali się wymazać z pamięci. Ryszard Wagner miał taki epizod, kiedy swego czasu zgodził się, aby na prapremjerze (na pierwszym przedstawieniu) „*Parcifala*” orkiestrą dyrygował... żyd wychrzczony. Później żałował tej zbytecznej koncesji, ale bądź co bądź w krytycznym momencie się zgodził.

Tu pono prosił i jęczał najstarszy z Rotszyldów, ośmdziesięcioletni senior kończącej na wyschnięcie złotego szpiaku pacierzowego dynastji Schylocków europejskich: „*Sire ratuj rasę proroków (i apostołów!)*”.

Jana III-ciego Sobieskiego... podobnie... 250 lat temu na klęczkach błagał posła cesarski i legatus z Rzymu. Tu legatusem był arcybiskup Paryża... I Jan III nie odmówił.

Jak się zaś za „odsiecz” odwiedzili... wszystkim chyba wiadomo...

ADOLF NOWACZYŃSKI

## N A M A R G I N E S I E

Publicyści Legionu Młodych w pismach swoich stosują oryginalną metodę polemiczną. Gdy im ktoś przygania, że szerzą propagandę bolszewizmu, odpowiadają:

„Nie idziemy sami: przed nami wyszła już I Brygada — za nią dziś maszeruje zwartą kolumną Logjon („Państwo Pracy”, nr. 23)

Jak tu polemizować! Stać na baczność i salutować.

„Bunt Młodych” (nr. 42) pisze:

„Poglądem rozpowszechnionym w kołach pravicowych (sanacyjnych)... jest pogląd, że obóz dziś rządzący wyzbył się swego dawnego radykalizmu rewolucyjnego lat 1905 i nast. Płytkość tego poglądu, charakteryzuje fakt, że za argument służą „odwiedziny Leaderów tego obozu paru znanych zamków magnackich w kraju. Nikt jednak nie zdobył się na twierdzenie (?), by pociągnięcia te miały jakikolwiek inny niż kurtuazyjny, pozyskiujący charakter”.

Znowu trzeba salutować... Francuzi o dziecku, które zdradza tajemnice domowe, mówią: „*enfant terrible*”. Młode cwaniaki sanacyjne mówią o swej taktyce: „*Młodzieżowa polityka reżymu*”...

„Czas” sanacyjny, który tak wiele sobie rokował po odwiedzinach „pozyskiującego charakteru”, zastanawia się (w nr. 148), „dlaczego wieś jest niespokojna”.

Przed 30 laty redaktor „Czasu” ś. p. Rudolf Starzewski rozmawiał na Weselu Tetmajera z Czepcem na tematy polityczne i mówił — według Wyspiańskiego, który tam był:

„Ale tu wieś spokojna.

Niech na całym świecie wojna,

byle polska wieś zaciszna,

byle polska wieś spokojna.

Redaktor „Czasu” pokpiwał sobie z chłopca; obecnie wypadałoby też z Czepcem pogadać, ale kogo na wieś posłać? Może owych ze swojego obozu „młodzieżowych polityków reżymu”?

Publicysta Rzymowski, chodzący teraz w jednym zapręgu ze Stępczyńskim, usiłuje w brukowym dzienniku sanacyjno-żydowskim przedstawić „Partję Narodową” jako ładacznicę. Kiedy tak przysięga, że Dmowski jest sługą szatana, a największy w Polsce obóz narodowy stanowi zakale i hańbę świata, to mu współczujemy. Bo co to za straszny los mieć poczucie, że się człowiek znalazł przypadkiem w takim społeczeństwie, które właśnie ten obóz darzy szacunkiem, miłością i zaufaniem.

**CZAS ODNOWIĆ  
PRZEDPŁATĘ**

**na kwartał III  
półrocze II**



NAJWIĘKSZA FABRYKA MYDŁA W POLSCE  
PRZEMYSŁ TŁUSZCZOWY

**SCHICHT S.A.**

WARSZAWA, NOWY ZJAZD № 1

FABRYKI W WARSZAWIE I TRZEBINI  
SKRZYŃKA POCZTOWA 149

WYRABIA ŚWIATOWEJ SŁAWY MARKI:

**JELEŃ - SCHICHT**  
MYDŁO

**C E R E S**  
TŁUSZCZ JADALNY

**RADJON**  
IDEALNY ŚRODEK  
SAMOPIORĄCY

INNE ARTYKUŁY:

MYDŁA: TERPENTYNOWE, „MERKUR“,  
„PTAK“, „SOAP“, SUCHE, TEKSTYLO-  
WE, SZARE.

**OLEJE JADALNE**

GLICERYNA CHEMICZNIE CZYSTA,  
TECHNICZNA I DYNAMITOWA.

PRACOWNIA I MAGAZYN  
**Wyrobów Podróżno-skórzanych**

===== POLECA NA SEZON WIOSENNY: =====

KUFRY, WALIZY, NESESERY, TOREBKI  
DAMSKIE, PORTFELE, TEKI BIUROWE,  
PORTMONETKI I SZKOLNE PRZEBORY

**A. CHAJĘCKI**

WARSZAWA,

CHMIELNA 35. TELEF. 212-15

Ceny bardzo przystępne.

JUŻ WYSZŁO Z DRUKU

III WYDANIE

**„ZMIERZCH IZRAELA“**

**HENRYKA ROLICKIEGO**

Aby udostępnić książkę szerszym kołom  
publiczności, cena jej obniżona została  
do 8 złotych, przyczem zewnętrzna strona wy-  
dawnictwa przedstawia się równie starannie,  
—:— jak w wydaniach poprzednich. —:—

SKŁAD GŁÓWNY:

W ADMINISTRACJI „MYŚLI NARODOWEJ”,  
WARSZAWA, ALEJE JEROZOLIMSKIE 17, DRUGIE PIĘTRO.

Dla nowoprzybywających prenume-  
ratorów „Myśli Narodowej” ce-  
na powyższej książki — 6 złotych.

CZYTAJCIE!

ROMANA DMOWSKIEGO

**MYŚLI NOWOCZESNEGO POLAKA**

Str. XLIV+296

4-te uzupełnione wydanie

Cena 5 złotych

SKŁAD GŁÓWNY:  
ADMINIST. „GAZETY WARSZAWSKIEJ“  
ZGODA 5

DO NABYCIA:  
WE WSZYSTKICH KSIĘ-  
GARNIACH I KIOSKACH  
KOLEJOWYCH  
T-WA „RUCH“.

**TREŚĆ:**

Patriotyzm w cudzysłowie *St. Pieńkowskiego*. — Józef Szujski *Wł. Konopczyńskiego*. — Forpocząty maso-  
nerji w Polsce *Sępa*. — Lektura „Króla-Ducha“ *M. Pawlikowskiego*. — Na widowni *Z. Wasilewskiego*. —  
Głosy. — Nauka i literatura („Powieść angielska“ *A. M. itd.*). — Zmarli. — Ofensywa *A. Nowaczyńskiego*. —  
Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.  
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57

PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁEM